BIBLIOTEKA INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO W SOPOCIE

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka

CIV 9013

S N

Cena zł 20

DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok IV | Warszawa, 23 maja 1948 r. | Nr 21 (130)

TREŚĆ NUMERU: A. Ł. — Rozważania niezupełne, J. Cichy — O rzemiośle, Kornik — Uroczystość wręczenia nagrody im. Włodz. Piatrzaka, Przemówienia, Z. H. Z. — Nad Rudnickim, J. M. — Pod znakiem debiutu, M. Markowski — Wędrówki po scenach polskich, Czytelnik uważa że..., Leszczyńscy — Film.

Hanna Malewska

UWAGI O WOLNOŚCI MYŚLI

Pojęcie „wolność myśli", bez komentarza, jest dziedzictwem Wielkiej Rewolucji, choć oczywiście wytworzyło się wcześniej. W dobie liberalizmu miało ono zakres bardzo szeroki, a treść proporcjonalnie uproszczoną. Usunięcie wszelkich autorytetów, jak i wszelkiego skrępowania uchodziło za atutomatyczne osiągnięcie wolności myśli.

W obiegowej filozofii XVIII i XIX wieku była ona czymś absolutnym, nieanalizowanym aksjomatem. To pojęcie ostało się w języku potocznym jeszcze i wtedy, gdy postępy psychologii, biologii, socjologii — przy dużym wkładzie marksizmu — zakwestionowały owo pojęcie w samych jego podstawach.

***

Dla katolika bezsporną i jasną sprawą jest polityczna wolność myśli.

Liberalizm mówił, iż nie wolno podporządkowywać się jakimkolwiek, zwłaszcza religijnym, autorytetom. Dzisiaj wiemy, że było to błędne postawienie sprawy. Uzależnienie myśli zarówno biologiczne (przede wszystkim dziedziczność), jak i społeczne (wychowanie, środowisko), jak wreszcie nacisk interesu osobistego — bynajmniej nie tylko w sensie finansowym — sięgają tak daleko, że o jakiejś absolutnej wolności myśli, o jakiejś kartezjańskiej czynności umysłu niezależnej i niezawodnej, jak doskonały chronometr, poza dziedziną nauk ścisłych nie może być mowy.

Zbliżyć się do wolności myśli na każdym polu można tylko mozolną pracą: 1° nad uświadomieniem sobie tych przymusów i tych autorytetów, którym się ulegało nieświadomie, 2° — co jest jeszcze trudniejsze — nad maksymalnym uwolnieniem się od nich. Co niekiedy wymaga całkowitej reformy życia. („Jeżeli się nie żyje tak, jak się myśli, zaczyna się myśleć tak, jak się żyje").

***

Jak wiadomo chrześcijańskie teorie poznania zajmują stanowisko pośrednie między kartezjańskim niezawisłym „myśleniem anioła", jak to nazwał Maritain, a marksistowskim bytem, który określa świadomość", więc w istocie całkowitym uzależnieniem myśli. Już u swoich początków chrześcijaństwo nauczało jednocześnie o „wolności dzieci Bożych" i przestrzegało: „Nie bądźcie niewolnikami ludzi", a zarazem głosiło pokorę-prawdę i tę ostrożność w spekulacji, którą tak zaleca św. Paweł („wedle daru, który każdemu jest dany").

W XIX wieku Kościół był zmuszony akcentować głównie drugą część tej nauki. W naszych czasach akcentuje znowu silnie pierwszą.

***

W dzisiejszej sytuacji umysłowej świata o wiele łatwiejsze jest niż przed stu laty przyjęcie bez rozterki wewnętrznej autorytetu Kościoła nieomylnego w zakresie wiary i moralności. Jest to, wierzymy, autorytet Prawdy. Ale nawet i tam, gdzie nie wchodzi w grę dogmat, zdrowy rozsądek wskazuje, że poglądy wielkich myślicieli i doświadczenia dwudziestowiekowej instytucji śmiało mogą wytrzymać konkurencję z indywidualnym sądem pana X, czy Y, którym pochodzenie, wychowanie, typ umysłowości i doraźny interes narzuca, czy chcą 777 przesądów.

W świetle tych prostych stwierdzeń specjalnie może polski zwyczaj odrzucania pewnych partii doktryny katolickiej, jako że „osobiście jestem innego zdania", wymaga poważnej i trzeźwej korektury.

Ale naczelną pokusą intelektualną naszych czasów jest chyba jednak rezygnacja z wolności myśli.

Zakwestionowanie wartości, nihilizm różnych stopni, który cechuje czasy wielkich przewrotów, uprząta wiele przesądów i zatorów umysłowych, ale ostatecznie zwykł prowadzić do jakiejś „prawdy z wyboru", czyli do mitu. Mit według mnie to jest system „prawd" fanatycznie wyznawanych dlatego właśnie, że są „nasze", a nie że są prawdami obiektywnymi. Nihilizm zwątpiwszy o obiektywnej prawdzie wybiera prawdę utylitarną.

A jeżeli nihilista myślowy nie stanie się fanatykiem mitu, to stanie się cynikiem.

Jedną z zasadniczych spraw humanizmu chrześcijańskiego jest dziś wspierać i podtrzymywać samodzielność myślenia — nie zapominając o jej granicach.

***

Podtrzymać samodzielność myślenia, to przede wszystkim czuwać nad jego samokontrolą. W dzisiejszych czasach nie odrzucenie wszelkich autorytetów, ale głęboko racjonalny, bezinteresowny wybór autorytetu, a zarazem uwalnia nie się świadome od wszelkich autorytetów pokątnych, nieuznanych, podświadomych — stanowi probierz wolności myśli. Przesunął się punkt ciężkości tej wielkiej sprawy.

Ponieważ jednak walka z uzależnieniem myśli nigdy nie będzie całkowicie wygrana, bo kompleksy i uprzedzenia pójdą z nami do grobu, dlatego ktokolwiek chce generalizować własne opinie, musi mieć na uwadze swoją ciasną, jeśli nie krzywą, ludzką perspektywę.

W wielu zresztą wypadkach różne „półprawdy" tradycyjne i konwencjonalne — kodeksy obyczajowe epoki i kraju, roszczące sobie prawa do wartości absolutnej — bywają pożytecznym „gorsetem", a zwłaszcza chronią od nihilizmu tych, którym brak pionu religijnego. A jednak we wszystkich sprawach zasadniczych na te „półprawdy" nie ma chyba miejsca. Zbyt często kolidują one z „Unum necessarium".

Że dogmatyczna wiara może się łączyć z ambitnym, precyzyjnym myśleniem, że wewnętrzna pewność co do spraw najdonioślejszych nie zobojętnia względem pracy umysłowej na własny rachunek, tego dowodzi historia myśli chrześcijańskiej.

A jednak jest to niemały problem praktyczny: utrzymać i rozwijać tę samodzielność myśli — o tyle trudniejszą i kosztowniejszą niż leniwe poddanie się lub machnięcie ręką na różnice — tę „klerkowską", czujną, drażliwą, czułą na odcienie, nieprzekupną dyscyplinę umysłu, jednocześnie „żyjąc z wiary". To tyle, co uprawiać z nie słabnącą pieczołowitością rolę, chociaż cały jej plon nigdy nie będzie wart ukrytego w niej skarbu.

Dla chrześcijanina najskuteczniejszym środkiem neutralizowania skrzywień myślowych jest stawianie problemów w perspektywie nadprzyrodzonej.

W takiej właśnie perspektywie tolerancja, szerokość poglądów, nie dogaszanie lnu dejącego, swoboda „in dubiis" — mogą pozostać bez komprowisowe, jak Ewangelia, z której wyrosły.

A tępota, ciasnota, upór, kompleks niższości albo wyższości — nie ostoją się długo.

Z tego punktu widzenia odwaga szczerości, wyznanie swego błędu, największa lojalność w rozumieniu przeciwnika, w doborze argumentów, jak i w określaniu własnego stanowiska — nie jest rodzajem samobójstwa politycznego, ale drogą do zwycięstwa.

Odmienna jest problematyka wolności myśli na planie wychowawczym. Umysł formujący się dopiero nie może być polem walki, ale też nie może być ideową „tabula rasa". Czy nieuchronna, całkowita zawisłość umysłów dziecinnych będzie zawisłością od Prawdy, w którą wierzymy: oto najdonioślejszy ze wszystkich katolickich problemów współżycia. Nie szczepić dzieciom prawdy, to to samo, co szczepić kłamstwo, tak jak nietknięty ugór staje się dżunglą chwastu.

Jeden z probierzy wolności myśli, najlepszej jaką możemy osiągnąć, stanowi spokojne i obiektywne stwierdzanie niezliczonych błędów, win i głupot, jakie czasy minione zapisały na rachunek katolików świeckich i duchownych. Stwierdzanie naturalnego kostnienia form i wprost automatycznego konserwatyzmu wszelkich instytucji, w których zespół majoryzuje i kształtuje nowoprzybyłych, a poczucie odpowiedzialności w zrozumiały sposób hamuje śmielsze poczynania. Trwałość musi coś kosztować.

Widząc je w sobie, wolno też i w innych widzieć wszelkie ludzkie uzależnienia. Pokora indywidualna i zbiorowa zabezpiecza zarówno nerwy, jak i prawdomówność, a w ostatecznym rachunku także i prestiż.

Wytyczne

Poznać a nawet wybrać prawdę, to przecież jeszcze nie wszystko. Trzeba umieć pozostać jej wiernym. Zadanie, biorąc realnie, przewyższające siły człowieka: „Video meliora proboque, deteria sequor" (Widzę co jest lepsze i pochwalam, lecz pożądam za tym co gorsze) to odwieczna skarga ludzka, którą po Owidiuszu powtórzył niemal dosłownie taki olbrzym jak św. Paweł (rzym. 7, 19).

Ale między św. Pawłem a Owidiuszem była różnica! Nie tylko różnica naturalnych sił duchowych i temperamentów, ale i ta ważniejsza, św. Paweł znalazł wyjście. Tym wyjściem była Łaska.

Z chwilą jednak, gdy mówimy o Łasce, o tej pomocy nadprzyrodzonej, którą Bóg daje człowiekowi, by go usynowić (dedit eis potestatem filios Dei fieri", Jan I, 12) wkraczamy właściwie w dziedzinę wiary. Czy oznacza to, że żegnamy się z rozumem? Uchowaj Boże!

Patrząc chociażby na blisko 2-tysięczny rozwój filozofii i kultury chrześcijańskiej, dochodzimy do prostego wniosku, że rozum właściwie dopiero na służbie wiary ma największe szanse rozwoju i poznania prawdy. Przykładem tego jest działalność chrześcijańskich uczonych. Można powiedzieć śmiało, że u wielu z nich praca naukowa miała charakter modlitwy. Ich wzrok utkwiony w usianym gwiazdami niebie sięgał jednak głębiej we wszechświat niż najdoskonalsze teleskopy — dostrzegał bowiem niewidzianego jego Sprawcę.

K. G. Chesterton zauważył, że u podstaw wszelkiego myślenia leży wiara i że zatem zupełny sceptycyzm — to samobójstwo myśli. Można by to dodać: sceptycyzm, jeszcze w większym stopniu niż myśl, zabija czyn... Nie można bowiem do czegoś dążyć, nie wierząc w wartość celu dążenia.

Wiara w znaczeniu najogólniejszym wydaje się przeto normalnym warunkiem wszelkiej owocnej działalności duchowej.

Andrzej Staronka

A. Ł.

Rozważania niezupełne

Nie jest dobrze. Najwybitniejsi pisarze, przemawiają do nas per głupcy, (może po to, aby nami wstrząsnąć?). Z chrześcijańską pokorą poddajemy się tej cokolwiek impertynenckiej i ordynarnej kuracji. Jesteśmy zdania, że warto dostać cięgi byle się czegoś dowiedzieć. Największe przyjemności zwykle są połączone z kosztami. Zresztą co tu owijać w bawełnę. Niektórzy czytelnicy lubią, żeby ich autor obrażał. Za moich czasów największym powodzeniem cieszyły się rekolekcje połączone z besztaniem. Wiele osób nawet nie wierzących, przychodziło po to, by skonfrontować siarczyste epitety księdza z własnymi grzechami.

Kaznodzieja znalazł bratnią duszę. Znany literat francuski Bernanos ogłosił niedawno swą katastroficzną książkę „Cywilizacja Robotów", szeroko omawianą dziś w prasie światowej. Warto się z nią zapoznać. Zobaczymy co zawiera.

Bernanos pisze:

Nic markotniejszego niż słuchać, jak głupcy nadają słowu „demokracja" jego dawne znaczenie. Głupcy! Jakże u diabła możecie się spodziewać, że Technika będzie tolerowała regime, w którym techników wyznaczałoby głosowanie, czyli okoliczność zależna nie od ich technicznego doświadczenia, poręczonego przez dyplomy, lecz od stopnia sympatii, którą oni budzą w wyborcy? Dzisiejsze Społeczeństwo to zespół technicznych zagadnień do rozwiązania. Jakież miejsce może tu zająć szczwany polityk, albo też idealistyczny wyborca? Głupcy!

Coś w tym jest. Weźmy przykład. Wyobraźcie sobie, że mnie zrobili... posłem! A cóż ja umiem, mój Boże. Tyle co czytać mnie nauczyli, więc kładę przed sobą stos gazet, (na które nie macie czasu) i uzbrojony w żyletkę (hej łzy się kręcą) wyłapuję dla was niewinne smakołyki. Potem wlepiam je w tekst (wielkim czerwonym językiem), a jeśli miejsce zostaje, do uwag inteligentnych dorzucam swe głupie trzy grosze. I już. I po całym kramie. Po owocach poznacie go, jak mówi Pismo Św.

Lecz oto nagle, szczęśliwy można powiedzieć galop konstelacji. Od razu zmienia się wszystko. Biorę udział w kampanii wyborczej. Krzyczę i fascynuję, wysuwam się naprzód o łeb. Łeb mam jak wiecie długi i w ciżbie dobrze mnie widać. Na wieść o moim sukcesie życzliwi znajomi szepczą:

— Powiedzcie mi moi ludzie, jak oni mogli takiego osła wybrać?

Słychać głos sceptyczny: — Phi! Proszę pana. Jest taka ciemna masa, co z nią najprędzej osioł się dogada. Ale w Głędziorkowie! wiadomo: czarny kołtun drobnomieszczański — przeważa.

Nieco konsekwencji. Powiedzmy... sesja sejmowa. Może być u nas przed wrześniem. Albo — zagranicą. (Bernanos pisze o Francji). Zresztą wszystko jedno. Wszędzie wymagają, żeby z sensem gadać. O kopalniach soli, o lasach państwowych, o hodowli skunksów i o metodzie zwalczania roślinożernych żyjątek.

To są konkretne tematy do dyskusji poselskiej na plenum.

Otwarcie. (Wszyscy wstają). Siadać! Zaczyna się maglowanie pierwszego problemu. Siedzę jak mysz w pocisku. Pociągam nosem raz i drugi. Czuję, że nic się na tym nie znam. Tymczasem chłopcy z mego klubu (nie chłopcy, lecz chłopy na schwał) ciągną mnie pod ławeczką za frak, syczą i dopingują.

— Wstań! Poproś o głos. Puść, że parę z gęby! Jak będziesz taki niemrawy, nigdy cię już nie wybiorą. Wyborca ma prawo wymagać...

Co prawda, to nie grzech. Wobec tego wstaję, powierzam się memu natchnieniu, nie wiem od czego zacząć, ale pcha mnie naprzód społeczny obowiązek.

Widzicie mnie już? Stoję na trybunie. Zastanawiam się co to ja chciałem powiedzieć? Niby — o tych skunksach. Skunks — wiadomo, dochodowy szczeniak, ale oprócz strasznego zapachu nic sobie nie mogę przypomnieć. Zaczynam więc mniej więcej w ten deseń, że te hodowle trzeba planowo... w miejscach właściwych prowadzić, bo inaczej, obywatele, inaczej przejść z nosem otwartym nie można.

W tym miejscu wrzaski, śmiechy i wymyślania. Marszałek laską uderza i przywołuje mnie do porządku. koledzy krzyczą: Slaaaadaj. Mój klub robi się... purpurowy. Czuję— kariera skończona.

Wracam na miejsce półżywy. Nie mogę sobie darować, żem od tej kopalni nie zaczął. Diabli nadali ze śmierdzielami się porać Sól to jest czysty element, codziennie się przecież z nią stykam (i sypię przez dziurkę do zupy). Na ten temat bez względnie mogłem coś rozsądnego powiedzieć!

Straszliwy kompleks niższości konsekwentnie zaczyna przeżerać mój cały psychiczny organizm. Już własnej struktury nie czuję i katastrofie skunksianej ulegam Laik jestem myślę, dyletant, szczerze mówiąc nieuk i gdyby nie to, że u nas tyle prasy inteligentnej wychodzi, statystujący przy mędrcach nie miałbym co robić. Tak ich przynajmniej wszystkich razem do kupy posklejam. Głupie żarty? A jednak w tym coś jest! Bernanos ma rację. Wiedza rośnie, życie się zróżniczkowało. wiek 20 bazuje na specjalizacji. Powiedzmy sobie szczerze. że każdy z nas w większości spraw tego świata przy bliższym zbadaniu okazuje się skończonym tumanem. Nawet bez własnej winy. Po prostu móżdżkiem swoim nie ogarnia nawet problemów wykraczających poza granice własnego zawodu.

Jeszcze dobrze, gdy sobie z tego zdaje sprawę, by od czasu do czasu zerknąć do książeczki, czy encyklopedii. Taki broszurkowy uniwersalizm, może wystarczyć w salonie u cioci Kloci, ale to na pewno nie jest dosyć, żeby mieć prawo do zabierania głosu w parlamencie nowocześnie zorganizowanym.

Czytając sprawozdania sejmowe coraz częściej spotykamy się z taką formułką: Wniosek posła X został odesłany do komisji. Komisja zazwyczaj składa się z rzeczoznawców omawianego na plenum przedmiotu W gruncie rzeczy, ona decyduje o celowości projektowanych dekretów czy ustaw.

Głosowanie ma w wielu wypadkach charakter czysto formalny. I tak powinno być. Skoro wiedza jest rzeczą podzielną, władza także musi być zróżniczkowana ze względu na zakres swych kompetencji fachowych. Idą czasy, w których rządzenie państwem równoznaczne będzie z naukową organizacją pracy produkcji i rozdziału dóbr. Parlament 19 wieku był popisem dyletantyzmu politycznego. Dzisiaj coraz wyraźniej zmierza ku specjalizacji. Tendencja ta, słuszna w zasadzie, bardzo prędko uczyni zeń narzędzie działania związków zawodowych. Dojdzie do tego, że człowiek będzie mógł z pełnym poczuciem odpowiedzialności mówić tylko o tym, co sam umie tworzyć. Ilość kwestii pozostawiona swobodnemu uznaniu głuptasów zmniejszy się wydatnie z oczywistą korzyścią dla kraju. Tak zwanych mężów stanu nareszcie zastąpią eksperci praktycznie obznajmieni z techniką zaspakajania potrzeb zbiorowości ludzkiej. Ci się nas wcale nie będą pytać, co myślimy o sprawach znacznie przekraczających naszą orientację. Na to byśmy mogli dać im sensowną odpowiedź, musielibyśmy dokonać tysięcy eksperymentów, albo przeczytać całe biblioteki.

Najwybitniejsza inteligencja ma swoje granice. Dopóki ich nie przekracza, jest siłą płodną i twórczą. Ale pod wpływem ataku megalomanii, bardzo łatwo porzucić skromność, która jest warunkiem szczęścia narodów i ludzi prywatnych. Hitler i Mussolini — ci dwaj znali się jak wiadomo na wszystkim Wiemy co z tego wynikło. Daj nam Boże, żeby za naszego życia nastąpił zmierzch epoki ambitnych półinteligentów. Tacy są dużo bardziej niebezpieczni, niż bomba atomowa.

Zbadajmy jednak charakter tych namiętnych obaw. Dopuśćmy do głosu pana Bernanosa. Specjalistę od wszystkich diabłów! Znakomity katastrofista tak kracze:

Głupcy! Czy sobie wyobrażacie, że w społeczeństwie, gdzie współzależności przyrodnicze nabrały sztywnej, nieubłaganej cechy współzależności matematycznej, będziecie mogli chodzić i wracać kupować i sprzedawać, pracować albo nie pracować z takąż poczciwą niefrasobliwością, jak wasi przodkowie? „Polityka przede wszystkim!" mawiał Maurras. Cywilizacja maszynowa ma również swoje hasło: „Technika przede wszystkim! technika wszędzie!"

Głupcy! wmawiacie sobie, że technika, w najgorszym razie, będzie kontrolowała tylko waszą działalność materialną, a ponieważ już na jutro spodziewać się „Pięciogodzinnego Tygodnia Pracy" tudzież dzień i noc otwartego Jarmarku Rozrywek, więc taka perspektywa niezbyt mąci wam spokój. Strzeżcie się, głupcy! Wśród innych Technik, istnieje technika dyscypliny, a ta nie poprzestanie na dawnym posłuszeństwie, uzyskanym z biedą za pomocą sposobów empirycznych, i które właściwie było nie tyle dyscypliną, ile umiarkowanym jej brakiem. Wcześniej czy później Technika zapragnie uzyskać współpracowników, oddanych ciałem i duszą jej Zasadzie, to znaczy takich, którzy bez zbytecznej dyskusji przyjmą jej koncepcję ładu, życia, jej koncepcję Racji Istnienia. W świecie, którego jedynym celem Wydajność, Wydolność, czyż każdy obywatel nie powinien być od urodzenia ofiarowany tym samym bogom?

Jest to pewna nowość. Dawniej uważano, że władza stanowi wyraz potęgi ugruntowanej przez stan posiadania. Dzisiaj wychodzi na jaw, że styl życia organizują narzędzia jakie wytwarzamy. Technika narzuca sposób rządzenia ludźmi i żywiołami. Opanowała przyrodę i nas. Posiada jak gdyby własną indywidualność. Udało jej się zaprząc w służbę maszyn, całe społeczeństwo. (Te, które miała wyręczyć). Ona nadaje rytm. Zarazem jednak rozkłada życie na części. Dokonuje nowego podziału. Kiedyś byli chłopi, robotnicy, mieszczanie i arystokracja. Lecz niedaleki jest dzień, w którym ów podział klasowy zastąpiony zostanie przez hierarchię mechanicznych funkcji. Na podstawie dyskusji parlamentarnych planowo badać zaczniemy, czym różni się mentalność speców obsługujących traktory i samochody, od psychologii spawaczy lub elektromonterów?

Przetasowaniu ulegną wszystkie struktury socjalne. Osobowość ludzka określana będzie z punktu widzenia czynności kształtującej jej pogląd na świat. Wyłonią się nowe proporcje, wyrośnie piramida odtwarzająca stopień doniosłości poszczególnych zawodów i fachów. Odżyje biblijny mit o wieży Babel Mechanizmy zróżniczkują nasz język i sposób pojmowania rzeczy. Będziemy żyli na służbie swych dzieł, hermetycznie oddzieleni barierami powszechnej niewiedzy.

Już dzisiaj poszczególne dyscypliny poznawcze, operują zgoła odmiennymi systemami symbolów i znaków umownych. Fizyk z największą trudnością, porozumiewa się z humanistą, czy biologiem. Te pojęcia nie dają się przetłumaczyć, zestawiać czy porównywać. Dotyczą zgoła różnych jakości istnienia. Są dla siebie stokroć bardziej obce, niż smak soli i kolor czerwony.

Jasne. Zatraciliśmy wspólny mianownik. Uczniowie doktora Carrela, długo wzdychać będą do syntezy nauk. Niewiadomo, czy rozbicie atomu jest finałem pasji analitycznej człowieka współczesnego. Chęć dotarcia do niepodzielnych elementów bytu, określa mentalność zachodnia. Demokryt tutaj zaważył, a w nowszych czasach Kartezjusz. Tęsknota do organiczności, przybrała na sile niedawno. W filozofii strukturalnej, przejawiły się owe dążenia. Choć wiemy, że część tylko w świetle, całość staje się zrozumiała i żywa, odkrycie więzi zespalającej poszczególne funkcje niełatwo nam dzisiaj przychodzi. Tajemnica życia wymyka się doświadczeniu.

Podejrzewamy, że umysł nasz nie jest przystosowany do jej uchwycenia. Już to samo, że posiadł świadomość swych granic, przynosi mu zaszczyt niezmierny. Byt prawdopodobnie nie odpowiada na pytania, jakie mu stawiamy. W wymiarach ponadludzkich, mogą one brzmieć wręcz bezsensownie. Zapewne są źle postawione i nie trafiają do celu.

Całą historię filozofii można by napisać z punktu widzenia tych dwóch wszędzie widocznych stanowisk. Jeden pogląd głosi, że byt i myśl jest czymś równoznacznym. Przekonanie to towarzyszy Heglowi ale wbrew pozorom nie jest bynajmniej typowe dla całej filozofii idealistycznej.

Druga szkoła stawia sprawę inaczej. Tak: Nasze kategorie pojmowania świata, wykształciły się w toku obcowania z wąskim i ograniczonym wycinkiem rzeczywistości bezpośrednio dostępnej poznaniu. Właściwy nam sposób doświadczania rzeczy, nie jest ani jedyny, ani na pewno prawdziwy. Budowa naszych narządów zmysłowych, — znana ich nieporadność i słabość sprawia, że obraz bytu utrwalony za pośrednictwem tego systemu uchwytów, ulega deformacji i uproszczeniu. Musimy przykrawać zjawiska na miarę ubogiego schematu wrażliwości własnej. Mętnym rozporządzamy zwierciadłem. W miarę rozwoju sztuki szlifowania szkieł i teleskopów, przeistacza się cała struktura doznań ludzkich. Ulepszając wciąż nasz aparat odbiorczy, wiemy, że potęgowanie jego badawczej sprawności, teoretycznie rzecz biorąc, może trwać w nieskończoność. Te odbitki stają się coraz ostrzejsze. Głębiej sięgają i dalej. Przedmioty widziane gołym okiem, ukazują nam tylko jedną z tysiąca składających się na nie postaci. Rzeczywistość złożona jest jak gdyby z wielu poszczególnych wersji, atakowanych kolejno przez zmysł odkrywczości poznawczej. Myśl będąca narzędziem praktycznej orientacji w świecie, z najwyższym wysiłkiem przekształca własną naturę urobioną przez dziecięco naiwny i bardzo fragmentaryczny realizm Musi się ona przystosować do obcowania z szeregiem nowych wymiarów Sztuka tworzenia coraz doskonalszych narzędzi oglądania rzeczy, wyprzedziła znacznie zakres możliwości, jakimi rozporządza nasz staroświecki i tępy intelekt.

Pozornie odbiegliśmy od Bernanosa. Zaraz dowiodę że nie. Udało nam się tylko ukazać konsekwencje prymatu techniki we współczesnym życiu umysłowym. Dyscypliny empiryczne, których rozwój uwarunkowało wzmagające się wciąż ostrowidztwo aparatury poznawczej, zdystansowały wyraźnie przyrodzoną nam w węższym zakresie zdolność wnioskowania.

Dopóki sama tylko religia, pouczała nas o niedoskonałości poznania rozumowego, byliśmy skłonni upatrywać w tym pewną degradację naszego człowieczeństwa, któremu Pitagoras wmówił, że ono jest miarą wszechrzeczy.

Przekonaniem tym, zachwiały nie tylko księgi rodzaju ludzkiego. W czasach nowożytnych, Kant pierwszy ukazał nam granice naszego pojmowania świata. Reszty dokonała Einsteinowska teoria względności.

Z tego cośmy powiedzieli wyłania się pewien obraz świata skłócony w istocie, tajemniczy i paradoksalny. W sferze rzeczywistości praktycznej istnieją zasadniczo dwie alternatywy: Albo dyktatura mitologizujących nieuków, doktrynerów i dyletantów w stylu Hitlera czy Mussoliniego, albo ewolucja w kierunku naukowej organizacji pracy produkcji i podziału dóbr. W związku z tym zmowa uczonych przeciw mężom stanu w skali wszechświatowej, rządy specjalistów połączone ze stopniowym uwiądem polityki w dotychczasowym znaczeniu wyrazu. Oczywiście nad „specami" powinni czuwać filozofowie i moraliści (to także spece), umożliwiający przedstawicielom poszczególnych dyscyplin znalezienie syntez. Zasadniczym celem tak pojętego rozwoju, byłaby likwidacja przyczyn wywołujących nienawiść, kontrola międzynarodowa we wszystkich ważniejszych dziedzinach, — ciągła praca nad scaleniem prowincjonalnych regionów maleńkiego globu w jeden wspólnie rządzony organizm. To jest jedynie rozsądne. Wszystko co sprzyja podziałowi świata a niesie zniszczenie i walkę, musi być odrzucone przez ludzi dostrzegających w twórczości, istotny sens życia na ziemi. Choć niewielkie są szanse uczynienia tej postawy obowiązującą, trzeba zachować się tak, jak gdyby tylko od nas zależało jej rozpowszechnienie.

Histeryczne obawy Bernanosa, są oczywiście grubo przesadzone. Z dwojga złego, lepsza jest na pewno hegemonia technicznych ekspertów, niż dyktatura patetycznych durniów, oparta na kulcie niekompetencji i absolutnej niewiedzy.

Wcale nie zamierzamy przeczyć że postępująca wciąż specjalizacja, doprowadzić może do nowej postaci zróżniczkowania socjologicznego. Ale to myśmy wyciągnęli ten wniosek. U Bernanosa go nie ma. Rozumowaniu jego obce są perspektywy jakie otwiera nauka współczesna. Paradoks sprowadza się tu w istocie do tego, że intelekt nasz przestaje być w wielu wypadkach narzędziem trafnej interpretacji danych doświadczenia. Obraz świata dostarczony przez aparaty poznawcze, nie jest w pełni dostępny dla kategorii naszego myślenia. W tym sensie to co empiryczne, przestaje być racjonalne w klasycznym znaczeniu wyrazu. Niebezpieczeństwo powstania nowego irracjonalizmu, byłoby groźne jedynie w tym wypadku, gdyby te sugestie znalazły swój odpowiednik w życiu politycznym. O ile to nie nastąpi, możemy być pewni, że umysł ludzki z biegiem czasu, przystosuje się do pojmowania nowych wymiarów, w tej chwili nie zupełnie dla siebie dostępnych.

W stylu Bernanosa, wyczuwamy niepokojącą i gorączkową gwałtowność. Impertynencję na pograniczu szaleństwa. Ta fraza pełna wyzywających i spazmatycznych okrzyków przypomina chwilami łoskot tysiąca bębnów towarzyszący bluźnierczej i opętanej prozie, przeklinającego chóralnie.

A. Ł.

Jan Cichy

O RZEMIOŚLE

I.

Równolegle do zwiększającego się uprzemysłowienia kraju następuje wzrost zapotrzebowania na usługi oraz na wytwórczość rzemieślniczą. Jest bowiem faktem, że pomimo obecnego poziomu technicznego, zaspakajanie potrzeb w niektórych dziedzinach produkcji dóbr i usług oraz w dziedzinach konsumcji może być dokonywane wyłącznie przez rzemiosło.

Produkcja rzemieślnicza wpływa bezpośrednio na kształtowanie się budżetu każdego obywatela. Wpływ ten odbija się oczywiście silniej na warstwach ludności niezamożnej, tym bardziej, że w okresie powojennym zwiększa się popyt na wytwórczość rzemieślniczą (np. w branży budowlanej). Stąd specjalne znaczenie ekonomicznego rozwoju rzemiosła, które polega na jego związku z podnoszeniem się poziomu stopy życiowej mieszkańców kraju oraz ogólnym rozwojem produkcji.

Równolegle do powyższego, sytuację rzemiosła oceniać można z punktu widzenia miejsca, jakie zajmuje sektor prywatny w obecnym ustroju gospodarczym. Pamiętać również musimy, że Trzyletni Plan Odbudowy Gospodarczej zakłada znaczny rozwój rzemiosła, które jest jednym z filarów sektora prywatnego.

Sprowadzanie zagadnienia sytuacji rzemiosła do zagadnień ściśle ekonomicznych byłoby jednak zacieśnianiem problemu. Trudno bowiem pominąć, a z punktu widzenia katolickiej myśli społecznej nie można pomijać, aspektu socjalnego rzemiosła.

Spróbujmy trochę szerzej rozwinąć powyższe zagadnienia.

II.

Porównując sytuację rzemiosła w latach 1938 i 1946 nad wyraz jaskrawo występują straty poniesione podczas wojny. Straty te wyniosły 64% pod względem ilości warsztatów, 54% pod względem liczby zatrudnionych, a 55% pod względem wartości produkcji brutto rzemiosła. Tym niemniej rzemiosło stanowi po wojnie jedno z głównych zgrupowań ludności. Na drugim bowiem miejscu po przemyśle państwowym, który zatrudniał w 1946 r. około 1 milion osób znajduje się rzemiosło z liczbą około 600.000 zatrudnionych, co stanowi źródło utrzymania dla około 2 milionów osób.

W Trzyletnim Planie Odbudowy Gospodarczej znajdujemy wytyczne dotyczące zwiększenia w okresie 1946 — 49 ilości zakładów rzemieślniczych ze 198 tys. do 290 tys. oraz zwiększenie ogólnej liczby zatrudnionych z 593 tys. do 920 tys. Zakładając realizację tego wzrostu, ilość warsztatów osiągnąć powinna w 1949 r. 53%, a ogólna liczba zatrudnionych — 72% stanu przedwojennego. Nierównomierny wzrost liczby zatrudnionych i ilości warsztatów wynika przede wszystkim z tego, że lepiej wyposażone technicznie warsztaty na Ziemiach Odzyskanych zatrudnić mogą więcej osób na jeden warsztat, niż to ma miejsce na Ziemiach Dawnych. W związku z tym zakłada się przekroczenie w 1949 r. przedwojennego poziomu wartości brutto produkcji na jednego zatrudnionego w rzemiośle, a globalna wartość produkcji winna osiągnąć 75% poziomu przedwojennego (pomimo, że ilość warsztatów będzie o 53% mniejsza od przedwojennej).

Według Ustawy o Planie Odbudowy Gospodarczej zadania powyższe mają być osiągnięte w drodze:

a) szkolenia kadr rzemieślniczych,
b) Skierowania młodzieży, a w szczególności młodzieży wiejskiej do rzemiosła,
c) wytwarzanie potrzebnych do rzemiosła maszyn, narzędzi oraz importu tych maszyn i niezbędnych surowców z zagranicy.

Przyznać należy, że przeszkolenie 350 tys. osób teoretycznie i praktycznie w ciągu 3 lat nie jest rzeczą prostą. Zachodząca konieczność przyspieszenia tempa szkolenia znalazła swój wyraz w uchwalonym w roku ubiegłym dekrecie, który przewiduje możność uzyskania przez starszą młodzież (ponad 18 lat) w czasie skróconym, bo najdalej dwuletnim kwalifikacji rzemieślniczych, oraz przez przyjmowanie młodzieży w wieku 15 — 18 lat na praktykę do warsztatów rzemieślniczych. Młodzież ta obowiązana jest uczęszczać do średnich szkół zawodowych, które mają na celu dać wykształcenie teoretyczne w dziedzinie zawodowej jak też i wykształcenie ogólne. Dokształceniem osób, które nie uzyskały na skutek wojny całkowitych, a potrzebnych kwalifikacji zawodowych zajmują się Zakłady Doskonalenia Zawodowego Rzemiosła. Zakłady te wykazały znaczną aktywność uruchamiając np. w 1947 r. 60 warsztatów szkolnych, 20 internatów, prowadząc 10 szkół budowlanych, oraz przeszkalając w sumie blisko 30 tys. osób.

Jest rzeczą oczywistą, że decydującym momentem dla zwiększenia kadr rzemieślniczych pozostaje przyciągnięcie odpowiedniej liczby kandydatów do nauki zawodu w rzemiośle, oraz znalezienie dostatecznej ilości warsztatów, które chciałyby praktycznie szkolić uczniów.

W werbowaniu kandydatów pewną konkurencją dla rzemiosła są Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Odbudowy i Rolnictwa, które oferują lepsze warunki materialne młodzieży. Przypuszczać należy, że rzemiosło nastawi się w roku bieżącym głównie na werbowanie młodzieży wiejskiej, fakt, który należy z całym uznaniem podkreślić jako jeden z czynników przyczyniających się do likwidowania przeludnienia wsi.

Przyjmowanie przez warsztaty rzemieślnicze uczniów na naukę nie zostało jak dotychczas generalnie wprowadzone. Pewnym hamulcem jest zapewne zasada, że mistrz rzemieślnik, który chce szkolić, obowiązany jest przyjąć na ucznia kandydata przydzielonego mu przez Urząd Zatrudnienia. Jednakże główne trudności są natury materialnej. Przez cały bowiem czas terminatorstwa uczeń winien uczęszczać do średniej Szkoły Zawodowej, a mistrz rzemieślnik obowiązany jest mu płacić za ten czas wynagrodzenie według ustalonych stawek. Niemożność pełnego wykorzystania ucznia w procesie produkcyjnym powoduje wzrost kosztów danego warsztatu. Dlatego też uzasadniona potrzeba łączenia szkolenia teoretycznego oraz praktycznego w warsztacie, pociąga za sobą konieczność stosowania ulg podatkowych w stosunku do tych warsztatów rzemieślniczych, które dostarczają państwu wykwalifikowanych rzemieślników.

Konsekwencją realizacji wytycznych Planu Odbudowy Gospodarczej są zasadnicze zmiany w zakresie struktury i gospodarki samorządu rzemieślniczego. Według ustawy z 1939 r. na samorząd gospodarczy rzemiosła składa się 14 Izb Rzemieślniczych zrzeszonych w Związku Izb Rzemieślniczych. Podbudową Izb są cechy. Przedwojenne prawo przemysłowe przewidywało istnienie cechów jako dobrowolnych zrzeszeń skupiających samoistnych rzemieślników, a nie nakładało obowiązku należenia do cechu. Cechy zobowiązane były stosować się do zarządzeń Izb Rzemieślniczych, wynikających z prawa przemysłowego i Statutu Izb, z tym jednak, że przepis ten pozbawiony był w praktyce sankcji prawnych. W kwietniu bieżącego roku wszedł w życie dekret wprowadzający przymus cechowy tj. obowiązek należenia samoistnych rzemieślników do właściwych terytorialnie i branżowo cechów. Równocześnie dekret rozszerza kompetencje Izb i Związku Cechów, jak też zawiera upoważnienie dla Ministra Przemysłu i Handlu do oznaczenia okręgowych (według terytorium) i wojewódzkich (według poszczególnych rodzajów zajęć) — Związków Cechów.

Nowelizacja powyższa wprowadza istotne zmiany w strukturze ustrojowej i gospodarczej samorządu rzemieślniczego, zmiany, które są realizacją założeń systemu gospodarki planowej t.j. włączenia wszystkich dziedzin gospodarczych, a więc i sektora prywatnego, w ramy ogólno - narodowego planu gospodarczego. Postulat ten powoduje przesuwanie się na odcinku samorządu rzemieślniczego punktu ciężkości z komórek dolnych do komórek centralnych. Planowanie odgórne jest bowiem równoznaczne z centralizacją danego odcinka gospodarczego.

Przymus cechowy jest dalszą konsekwencją objęcia „Planem" działalności rzemiosła. Rzemieślnicy nie zrzeszeni w cechach byliby sui generis „outseiderami" w stosunku do wytycznych planu.

Przy obecnym zakresie poszczególnych sektorów gospodarczych bazą zaopatrzenia rzemiosła w narzędzia, surowce i półfabrykaty, stał się przemysł państwowy. Zbyt przemysłu państwowego jest dostosowany do wytycznych planu, z których wynika konieczność dostarczenia przez rzemiosło artykułów dla państwowego przemysłu i handlu hurtowego.

Zależności powyższe znajdują wyraz w zaopatrywaniu rzemiosła w potrzebne surowce na podstawie umów o dostawy rzemiosła dla przemysłu i handlu państwowego (tzw. tranzakcje wiązane).

Tranzakcje wiązane mają w chwili obecnej niewątpliwie dodatnie i ujemne strony. Do pierwszych zaliczyć trzeba przede wszystkim wykorzystanie możliwości produkcyjnych (nie wykorzystanie tych możliwości wahało się w roku ubiegłym od 25% — 80% w poszczególnych branżach) oraz zapewnienie stałego zbytu produkcji rzemiosła.

Z drugiej strony wyrazić należy obawę, że tranzakcje wiązane nastawione na produkcję „en gros" wpływać będą ujemnie na jakość wyrobu, jak też to, że rzemieślnicy dążyć będą nadal do uzyskania maksymalnych, a trudnych do skontrolowania zysków za usługi świadczone poza tranzakcjami wiązanymi.

Zjawisko powyższe występować będzie o ile zaopatrywanie rzemiosła w surowce nie będzie obejmować jego wytwórczości służącej do zaspokojenia potrzeb prywatnych konsumentów. Ważnym jest bowiem, aby działalność usługowa, reparacyjna i na zamówienie dla prywatnych konsumentów, którzy są w większej części niezamożni, nie ulegała podrożeniu. Od tego zależy dobry lub zły wpływ rzemiosła na realny wzrost stopy życiowej społeczeństwa.

Neutralizowanie ujemnych stron tranzakcji wiązanych zależy oczywiście od właściwej polityki podatkowej oraz od sprawnej organizacji rzemiosła w kierunku ustalania iustum pretium za świadczone usługi.

III.

Jak wspomnieliśmy wyżej obok znaczenia ściśle ekonomicznego rzemiosło odgrywa niepoślednią rolę w realizacji zasad katolicyzmu społecznego.

Z czego wypływa ta rola i jaka jest jej istota?

W oparciu o encykliki papieskie, a przede wszystkim o encyklikę Quadragesimo Anno jedną z głównych zasad współczesnej katolickiej nauki społecznej jest system organicznej struktury socjalnej, który to system ma zaradzić złu wypływającemu z koncepcji uznającej jedynie dwa elementy w społeczeństwie, a mianowicie jednostkę i państwo. Koncepcja ta, którą można określić jako atomistyczno - mechanistyczną pomija prawa i funkcje grup pośrednich pomiędzy jednostką i państwem (atomistyczna: gdyż jednostki nie posiadają naturalnych więzów jednoczących je wzajemnie; mechanistyczny, gdyż jednostki muszą być jedynie sztucznie łączone za pomocą jedynego czynnika, którym jest państwo).

Według koncepcji organicznej społeczeństwo należy traktować analogicznie jak żywy organizm ludzki, a więc jako całość zorganizowaną i opartą o naturalny porządek hierarchiczny.

Społeczeństwo jest zatem zbiorowiskiem grup, które tworzą żywe organizmy, a dla których rozwoju jest potrzebne współdziałanie. Decydujące kryterium dla kształtowania się tych grup organicznych winny być ich funkcje spełniane w życiu społeczeństwa (rodzina, zawód i tp).

Jedną z konsekwencji zasady organicznej struktury jest propagowanie wszelkiego rodzaju samorządów. Zrzeszenie jednostek w Samorządzie zapobiega działalności antyspołecznej, chroni bowiem jakość wyrobów i słuszną cenę, jest czynnikiem rozwoju gospodarczego w drodze zwiększenia się wytwórczości krajowej oraz czynnikiem wzrostu stopy życiowej najbiedniejszych warstw ludności (wykształcenie zawodowe). Jest ono również czynnikiem socjalnego rozwoju, prowadząc do kształtowania się wśród szerokich warstw ludności pojęcia współgospodarzenia oraz pojęcia współodpowiedzialności, które to pojęcia są fundamentalnymi założeniami katolicyzmu społecznego.

Przypomnieć w tym miejscu również należy, że według zasad katolicyzmu społecznego, państwo nie stoi bynajmniej poza nawiasem organicznych grup socjalnych. W encyklice „Summi Pontificatus" zostaje potwierdzone prawo państwa do interwencji tzn., że w życiu narodu przypada państwu w udziale niezwykle ważna funkcja dozorowania, regulowania i popierania działalności jednostek i grup organicznych, celem osiągnięcia dobra wspólnego dla wszystkich.

IV.

Przekraczałoby ramy niniejszego artykułu sformułowanie postulatów jakie wypływają z zasad katolicyzmu społecznego odnośnie rozwoju rzemiosła w Polsce. Chodziło nam bowiem o naszkicowanie obecnej sytuacji i kierunku rozwoju rzemiosła w realizowanym systemie gospodarki planowej, oraz o podkreślenie istoty stosunku nauki katolicyzmu społecznego do zagadnienia samorządu.

Poza tym należy ocenić pozytywnie wysiłki już dokonane oraz zamierzone w dziedzinie rozwoju rzemiosła, a w szczególności w dziedzinie kształcenia zawodowego i objęcia tą akcją elementu wiejskiego.

Jan Cichy

W świecie...

AMERYKAŃSKIE MANEWRY

DNIA 4 maja ambasador USA w Moskwie p. Smith złożył min. Mołotowowi notę rządu USA, w której rząd USA po stwierdzeniu całkowitej stabilizacji polityki zagranicznej Stanów Zjednoczonych i zapewnieniu o poparciu jej przez cały amerykański naród, oświadczył, iż Stany Zjednoczone nie żywią żadnych wrogich zamiarów wobec ZSRR. Ponieważ jednak między obu państwami istnieje duże naprężenie — rząd USA oświadcza, iż nie traci nadziei na rozsądne i dobre ułożenie wzajemnych stosunków. „Jeśli chodzi o St. Zjedn. to drzwi zawsze stoją otworem dla wyczerpujących dyskusji i załatwienia istniejących różnic. Rząd mój — podaje w swej nocie amb. Smith — ma szczerą nadzieję, że rząd radziecki nie zignoruje stanowiska rządu USA, sformułowanego w poniższej nocie. Jeżeli się tak istotnie stanie rząd radziecki nie natrafi u nas na brak gotowości wniesienia naszego wkładu do sprawy stabilizacji stosunków światowych w całkowitej zgodzie z wymogami bezpieczeństwa narodu radzieckiego".

9 maja min. Mołotow złożył amb. Smithowi notę, w której odrzucając oskarżenia wysunięte pod adresem polityki ZSRR przez Departament Stanu, jakoby ZSRR wywierał nadmierny wpływ na sprawy wewnętrzne krajów Europy Wschodniej, oraz demaskując zakusy St. Zjedn. przeciwko suwerenności krajów, mających być objętych planem Marshalla i winiąc politykę USA za niezadawalający stan wzajemnych stosunków między USA i ZSRR — rząd ZSRR „zgadza się na propozycję rozpoczęcia dyskusji oraz załatwienia różnic istniejących między dwoma państwami".

Ta wymiana not stała się sensacją polityczną całego świata. Zdawało się, że oto wreszcie zostały wykonane jakieś posunięcia, mające na celu rozładowanie naprężonych stosunków światowych, że uczynione zostały kroki ku pokojowi. Głosy radości odezwały się w Londynie, Paryżu, Waszyngtonie i Moskwie. Wallace wystosował list do Stalina, w którym zaproponował zwołanie konferencji: Stalin — Truman. Najwyższe zdumienie ogarnęło wszystkich, gdy na konferencji prasowej Marshall oświadczył, że celem noty werbalnej było tylko wyjaśnienie rządowi radzieckiemu podstawowej linii politycznej USA. Dalej oświadczył on, że rząd USA nie rozpocznie rozmów bilateralnych z rządem ZSRR, gdyż USA nie zamierza w dwustronnych rokowaniach „omawiać zagadnień, dotyczących innych rządów". Zdaniem Marshalla zasadnicze problemy różniące oba kraje mogą i muszą być rozpatrywane w ramach ONZ, tj. na Radzie Bezpieczeństwa i w Alianckiej Radzie Kontroli. W dwa dni później Truman oświadczył, iż jego zdaniem wymiana not nie zmieniła w niczym sytuacji politycznej. W ten sposób cała akcja odprężenie politycznego zawisła raptem w powietrzu. Jak dotąd nota amb. Smitha dała tylko okazję min. Mołotowowi do ujawnienia swych pokojowych tendencji przez przyjęcie inicjatywy zaakceptowanie rozmów. USA zdezawuowały własny gest. A chyba nie to było celem noty amerykańskiej?

PAMIETAJ O ODBUDOWIE OPACTWA TYNIECKIEGO

Ofiary można wpłacać na konto P.K.O. — Kraków — IV—477 (Opactwo O. O. Benedyktynów) lub też w Administracji „Tygodnika Powszechnego".

UROCZYSTOŚĆ WRĘCZENIA NAGRO

Reportaż nieco krotochwilny

Właściwie już od początku nie byłoły żadnych niespodzianek. Trzej laureaci i zaproszeni goście przybyli, jak przewidywano, punktualnie, a cała uroczystość rozpoczęła się — co także przewidywano — tradycyjnym, półgodzinnym opóźnieniem.

Zacznijmy jednak, jak zwyczaj w takich wypadkach nakazuje, od gości.

Pośród przeszło stuosobowego grona obecnych, można było zauważyć wielu przedstawicieli nauki, literatury, działaczy społecznych i politycznych. Obecny był prof. Antoniewicz, prof. Grzegorczyk, dyrektor ZAIKS-u, Jastrzębiec-Rudnicki, cały klan Rostworowskich, mianowicie—b. sen. Wojciech Rostworowski, Stanisław Kostka - Rostworowski i młody poeta Nik Rostworowski, księgarze i wydawcy z dyr. Trzaską na czele, z dyplomacji: sekretarz ambasady francuskiej, p. Détrie i w. in. Można by cytować całą litanię nazwisk, z których każde niemal znane jest społeczeństwu ze szpalt pism i autorstwa książek. Szczególnie licznie przybyli bowiem ludzie pióra.

Tak więc o godzinie 16.30 salę Towarzystwa Ekonomicznego (a ściśle mówiąc: trzy duże, połączone ze sobą pokoje mieszkalne) — zaległa cisza. Cisza ta nie trwała długo, bowiem o wspomnianej godzinie, kilku krótkimi słowami zagaił całą uroczystość ks. prof. Oborski. Z ciszą była zresztą jeszcze ta kłopotliwa trudność, że zakłócał ją co kilka minut zgiełkliwy zgrzyt przejeżdżających pociągów EKD. Był to jednak na szczęście jedyny zgrzyt tego ze wszechmiar udanego popołudnia...

Ale do rzeczy: godzina 16.30, ks. Oborski proponuje powołanie prezydium w następującym składzie: Bolesław Piasecki, Wojciech Kętrzyński, Władysław Jan Grabski, Jan Dobraczyński, Aleksander Rymkiewicz, dr Nowak - Dłużewski. Po krótkotrwałym przesuwaniu krzesłami oraz dyskretnej fali szeptów, wspomniani członkowie prezydium, zasiedli za długim, przykrytym zielonym suknem, stołem.

Gdybyśmy chcieli w tym momencie wszystko dygresyjnie zreasumować, streścilibyśmy to bez większej pomyłki w następujących słowach: zakłopotani laureaci, mili goście, półgodzinne spóźnienie, dostojne otwarcie, prezydialny stół, zielone sukno. Najbardziej przerafinowany znawca tego rodzaju ceremonii nie mógłby wydobyć z siebie słowa krytyki...

Przemówienia. Tego nie trzeba chyba nawet zapowiadać, to się rozumie samo przez się. Niech nam wolno będzie jednak złagodzić efekt tego strasznego dreszcz grozy wywołującego, słowa: przemówienia były dobre i — co najważniejsze — krótkie (por. niżej opinię prof. Czekanowskiego).

Rozpoczął Bolesław Piasecki. W prostych słowach uplastycznił słuchaczom sylwetkę Pietrzaka i trudności, na jakie ten napotykał w swej pracy. Pietrzak tworzył w warunkach niezwykłego prymitywizmu, lecz koniecznością tworzenia przezwyciężył wszystkie psychiczne i materialne opory. Pozostawił po sobie 5 tomową powieść, zbiór esseyów i liczne artykuły publicystyczne.

Piasecki należy do mówców opanowanych, nieco powolnych, ważących pilnie każde słowo. Długie przerwy pomiędzy poszczególnymi zdaniami nie rozpraszają jednak uwagi słuchaczy, lecz raczej odwrotnie, potęgują ją. I teraz, kiedy urwał nagle, utkwiwszy wzrok w powierzchnię stołu, a całą swą długą postacią kiwał się miarowo, jak wahadło zegara, czuło się, że następne zdanie będzie miało szczególną wagę. „Twórczość — to jedyna droga do tego, aby katolicyzm zszedł z pozycji biernego obserwatora historii, czynionej przez innych". Celem inicjatywy zespołu „Dziś i Jutro" — stwierdził Piasecki na koniec — była chęć rozpętania zapału twórczego wśród polskich, katolickich intelektualistów.

Po tym, zaledwie 10 minut trwającym, przemówieniu, głos zabrał na pół godziny Wojciech Kętrzyński. Dla niego uroczystość uderzająco przypominała ...chrzciny. Bo to i, że — pierwszy raz w ogóle, że jest dziecko... (ktoś nadmiernie złośliwy stwierdził później, że jak na przemówienie z okazji chrzcin, to trwało ono o równe pół godziny za długo). Kętrzyński zobrazował z kolei wszystkie rozliczne trudności, na jakie napotkali w swej pracy inicjatorzy nagrody oraz wyraził radość, iż nagrodę przyznano w Warszawie, mieście, które szczyci się tak wspaniałymi tradycjami wojskowymi, ale jednocześnie ma ambicje przodować zawsze na polu kultury.

Wszyscy słuchacze jednak solidaryzowali się z mówcą, gdy ten, kończąc swą wypowiedź, dał wyraz przekonaniu, że czasy pięknych gestów należą już do przeszłości, a mecenasem musi się stać całe społeczeństwo. Katolicyzm musi sobie znaleźć samodzielną bazę materialną, tak, jak to ma miejsce np. w wypadku Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Czytelnicy wybaczą jeszcze dwie małe dygresje, ale omawianej niedzieli, w tej właśnie chwili, miały miejsca dwa zabawne epizody.

Mniej więcej w połowie przemówienia Kętrzyńskiego, rozległ się z pobliskiej oficyny, chóralny śpiew: „Sto lat, sto lat". Po prostu jakiś spóźniony Stanisław fetował swych gości. Te głośne wyrazy uczuć dla solenizanta wywołały uśmiechy na twarzach obecnych na uroczystości. Najmniej speszyły mówcę, który najwidoczniej uważał owe śpiewy za wyjątkowo dobrze pasującą oprawę dla swej mowy...

Nie ma nic straszliwszego, jak reflektor świecący prosto w oczy. Jeżeli jeszcze do tego reflektor świeci w oczy „trzymającego mowę", to już w ogóle jesteśmy o krok od morderstwa i na salę może wchodzić policja. Ale — dodajmy — owego dnia w roli chłopca do pomocy fotografowi wystąpił pewien młody i ceniony publicysta i, co nie jest bez znaczenia, publicysta ten obdarzony jest niezwykle krótkim wzrokiem. Dlatego wyczyny „chłopca" były niezrównane. Tak więc reflektor świecił kolejno w sufit, podłogę, oczy trzymającego go i w kilku innych nieokreślonych kierunkach. Nie świecił jedynie tam, gdzie należało.

Sympatyczny publicysta, jak dowiodło doświadczenie, powinien pozostać przy pisaniu, mimo iż kto wie, czy na nowej posadzie nie miałby większych dochodów...

Znakomity dramaturg i równie znakomity mówca, Jerzy Zawieyski, ograniczył się z powodu choroby, do przesłania okolicznościowego listu, który odczytano.

Sposób bycia znanego pisarza, Władysława Jana Grabskiego, przypomina łudząco jego książki. Jest owiany spokojem i pewnym nieuchwytnym dostojeństwem. Grabski, przemawiając w imieniu jury nagrody, podziękował serdecznie fundatorom, a następnie, w słowach pełnych wyrazu i szlachetnej prostoty, zwrócił się do laureatów, mówiąc „dziękuję za to, że jesteście". Z dużym aplauzem spotkało się jego powiedzenie pod adresem Malewskiej: „Ja także napisałem powieść historyczną, ale Twoje „Kamienie wołać będą", bardziej lubię od swojego Sagi". Hucznymi oklaskami nagrodzono słowa Grabskiego, gdy zwrócił się do Jasienicy: „Tobie dziękujemy za rycerskość i śmiałość w obronie pokrzywdzonych".

I tu nastąpił moment kulminacyjny: wręczenie kopert. Wasz sprawozdawca musi się przyznać, że drżał z lekka, bowiem koperty rozdane były nader szybko, a przecież jedna z nich była o 50.000 zł cenniejsza! Wydaje się jednak, że pomyłki nie popełniono, chociaż nagrodzeni wyraźnie krępowali się sprawdzić zawartość. Nasuwało się poza tym jedno pytanie natury praktycznej: czy urząd skarbowy nie zechce przypadkiem strącić z tego podatku? Instytucja ta bowiem jest jednym z tych urzędów które wiedzą o wszystkim i działają z niezawodną pilnością.

Ale niech się o to martwią laureaci. Właśnie w tej chwili mają głos.

Profesor Czekanowski, chluba polskiej nauki i jeden z najznakomitszych w Europie antropologów, rozpoczynając swe krótkie kilka słów, powiedział z rozczulającą szczerością: „Profesorowie, to są starzy nudziarze, lubią mówić długo i nudno! A zawsze najlepszym przemówieniem jest przemówienie krótkie i dobre, dalej krótkie i złe, a dopiero na trzecim dobre i długie". Z kolei profesor Czekanowski, wypowiedź swoją zaklasyfikował do drugiej kategorii, a następnie, z dobrotliwym uśmiechem, rzekł: „Ja już 44 lata walczę o zwyczajny, zdrowy sens. Antropologia jest tą nieszczęśliwą dziedziną nauki, którą zawsze, przy każdej okazji, ciągają do uzasadnienia nowych teorii politycznych i koncepcji społecznych. Najpierw była moda na pokrewieństwo ludzi z małpami. A różni ludzie wyczuwali to bardzo żywo, bo w każdym tkwi zamiłowanie do studiów genealogicznych (ta ostatnia uwaga wyraźnie skierowana była pod adresem pewnych niefortunnych autorów książek szkolnych). Następnie przyszła teoria urodzonego zbrodniarza i wreszcie rasizm. Ostatnio modny jest katzenjammer.

Przez cały czas nie schodził z oblicza profesorskiego ten jedyny w swoim rodzaju, właściwy tylko ludziom wielkiej wiedzy, jasny, szczery uśmiech. I z równym wdziękiem mówił o losach polskiej antropologii jak i o „piernikostwie" profesorów uniwersytetu. Przez cały czas miało się wrażenie, jakby fakt przyznania mu nagrody przyjmował, z miłym i przychylnym co prawda, ale zdziwieniem.

Hanna Malewska już w pierwszych słowach rywalizowała z Grabskim o palmę pierwszeństwa w literackiej (jakże rzadkiej i cennej!) skromności: wyróżnienie uważam za zaszczyt niezasłużony i zobowiązanie na przyszłość".

Z pewnym niedowierzaniem patrzyło się na tę młodą, ładną twarz, gustowną, wytworną czarną suknię, ozdobioną dwoma sznurami pereł. Musimy się przyznać, że autorkę licznych książek historycznych wyobrażaliśmy sobie jako kobietę zaawansowaną wiekiem, mocno posiwiałą, trochę „molowatą". Okazuje się, że długie godziny nad biurkiem i książką, oraz żmudne studia nad historią, nie muszą koniecznie iść w parze z pochyłymi plecami i starczą sylwetką. Malewska jest żywym zaprzeczeniem tego przesądu.

Gdybyśmy nie wiedzieli, że ten krępy, nieco łysiejący pan w okularach, jest Jasienicą, to i tak po kilku wypowiedzianych przez niego zdaniach bylibyśmy się tego domyśl'ali. Jasienica wypowiada się z równą prostotą i jasnością, jak w swych artykułach. W jego słowach brzmi ta sama pasja, którą tak wszyscy dobrze znamy ze szpalt „Tygodnika Powszechnego". Mówi o obowiązku publicysty pisania o przemianach, zachodzących stale na Ziemiach Odzyskanych. Cytuje anegdotkę ze swej niedawnej podróży. Jest coś z żołnierza w Pawle Jasienicy.

Część oficjalna skończona. Przewodniczący zaprasza na tradycyjną lampkę wina, która nie wiadomo dlaczego tak się nazywa, mimo, że zawsze jest tradycyjnym kieliszkiem. Część nieoficjalna, dzięki niewątpliwej skromności poczęstunku, harmonizowała z całokształtem uroczystości.

Właściwie, gdyby nie było części nieoficjalnej, to by nie było w ogóle całej uroczystości. Bo kto np. zwróciłby uwagę na długie i modne toalety płci pięknej? (widzieliśmy tu szyk amerykański i krajowy). Kto miałby czas i okazję na wymienienie cennych spostrzeżeń (czytaj: plotek)?

Na szczęście organizatorzy pomyśleli o wszystkim.

9 maja mało było dętej oficjalności i ziejącej zawsze przy takich okazjach morderczej nudy. Niech to będzie usprawiedliwieniem w oczach tych czytelników, którzy z oburzeniem przeczytali powyższe uwagi i impresje krotochwilowego sprawozdawcy. U nas niestety zbyt często jeszcze powagę uroczystości nastawia się na nutę hymnu. Wspomnianej niedzieli było — na szczęście — inaczej.

podpatrzył i podsłuchał

KORNIK

PRZEMÓWIENIA

Bolesław Piasecki

Nazwanie nagrody naszej Nagrodą Imienia Włodzimierza Pietrzaka nie wynika ani z przypadku, ani z chęci uczczenia jednego z naszych najlepszych kolegów, ale ma swoje głębokie uzasadnienie, które bym chciał przedstawić.

Jakie miał Pietrzak trudności w swojej twórczości? Pierwszy rodzaj tych trudności płynął z samej Jego struktury psychicznej. Pietrzak był człowiekiem o nienasyconej ciekawości, o nienasyconym głodzie poznania, ciągle uważał, że wie za mało, by sądzić, by oceniać. I to jest bardzo dużo, ale jest też w tym trudność. Wielu ludzi nie dochodzi do sformułowania własnych poglądów, do dojścia na drogę własnej twórczości i własnych tez, bo ciągle rozpraszają się w poznawaniu, które z drugiej strony jest koniecznością jakiejkolwiek twórczości.

Pietrzak był człowiekiem, który uważał, że w każdym stanowisku jest coś zastanawiającego, że do każdego z przeciwników literackich, ideowych, politycznych trzeba podchodzić z dobrą wolą, by stwierdzić, co w treści głoszonych przez nich poglądów jest słuszne. Nie miał nic z doktrynerstwa. Tu znowu niebezpieczeństwo zagubienia się, rozproszenia własnej prawdy w tym, że się widzi wszędzie jej część. Umysłowość Pietrzaka nie znosiła uproszczeń. Starał się sam i namawiał innych sposobem bycia, sposobem rozmowy do widzenia każdego człowieka w pełni, wszechstronnie, bez prymitywizmu. Tu znowu jest niebezpieczeństwo, bo często widząc pełnię faktów traci się możliwość oceny. To są cechy Jego umysłowości, które znamy dobrze i pamiętamy. Po za tym była wojna, nie miał żadnych warunków materialnych dla twórczości, nie miał żadnych warunków technicznych, nieustalony był wynik wojny i żył niepewny swego losu, jak każdy z nas. Zginął. Zostawił pięciotomową powieść, zostawił dużo essayów, b. dużo artykułów publicystycznych. Wreszcie posiadał zdecydowane oblicze ideowe, posiadał zdecydowaną postawę polityczną i moralną, która go doprowadziła do zrozumienia służby interesom Polski na barykadach Powstania Warszawskiego.

Pietrzak przezwyciężył trudności płynące z chwili, w jakiej działał i ze swej własnej psychiki.

I teraz drugie zagadnienie. Jakie są obiektywne trudności w tworzeniu dzisiaj i w tworzeniu z naszego punktu widzenia katolików i Polaków?

Przerost zagadnień taktycznych, to zagadnienie „co z nami będzie" w różnej skali: osobistej, zespołu, środowiska, aż do skali narodowej. Co będzie, kiedy będzie wojna, jak się zachować w czasie wojny?

Druga trudność — to nastrój, panujący w Europie, który najlepiej sformułowała Francja: po co tworzyć, wszystko jest powiedziane przez kulturę rzymską. A tu kultura jest przegrana we wszystkich zrealizowaniach. Właściwie tylko należy komentować to, co było, starać się rozsądnie zachowywać.

Wreszcie trzecia trudność, — że w tej chwili zarówno w dziedzinie gospodarczej, jak kulturalnej, politycznej rządzi obóz ideowy marksistowski, a na drugiej półkuli — obóz kapitalistyczny. Wielu zaś ludzi z naszego obozu światopoglądowego uważa, że ma wielkie doktryny, wie jak być powinno, oczekuje więc tylko, że się coś zmieni. To jest nowa bardzo zasadnicza przeszkoda w twórczości.

Nam się natomiast wydaje, że jedynym sposobem włączenia się w historię współczesną przez jakikolwiek naród, przez jakikolwiek ruch ideowy — jest twórczość. Wydaje nam się, że katolicy powinni wyjść z odosobnienia, że jedynym sposobem zapewnienia maksymalnej stopy kulturalnej i materialnej narodu polskiego jest twórczość polska, jest twórczość kulturalna i gospodarcza. Dlatego, powziąwszy inicjatywę nagrody, postanowiliśmy usymbolizować w jej nazwie człowieka, który pokazał w bardzo trudnych warunkach możliwości przezwyciężenia oporów zewnętrznych i wewnętrznych. I to jest sens nagrody im. Wł. Pietrzaka.

Rozpętanie, rozpalenie w każdym Polaku-katoliku — pasji twórczej na skalę posiadanych możliwości, to jest ambitna wymowa, to jest sens nagrody naszego Balka, nagrody Imienia Włodzimierza Pietrzaka.

Wojciech Kętrzyński

Przemówienie swoje rozpoczął red. Kętrzyński od nakreślenia historii prac komitetu pierwszej po wojnie nagrody katolickiej im. Włodzim. Pietrzaka. Następnie mówił o pracach ideowych związanych z ustaleniem pojęcia pisarza katolickiego na tle przemian współczesnego świata, opowiadając się za koniecznością zrozumienia istoty dziejących się przemian. Wreszcie przeszedł do projektów na przyszłość, które przytaczamy in extenso.

DY IM. WŁODZIMIERZA PIETRZAKA

Dalecy od przesądów ludzi, tkwiących korzeniami w minionej epoce, uczestniczymy w pędzie warstw niegdyś wydziedziczonych nie tylko materialnie, ale i kulturalnie, nie tylko ku korzystaniu, ale i ku tworzeniu kultury narodowej. To ruch zdrowy, ożywczy, wzmacniający. Pragniemy jednak, by tradycje i zacietrzewienia walk politycznych nad tym ruchem nie ciążyły. Twardo też stać będziemy w obronie dostępu pojęć katolickich do tej nowej rzeczywistości kulturalnej współczesnej Polski.

W tym wielkim problemie sprawa nagrody stanowiła jedno ogniwo. Chodziło o stworzenie realnej zachęty dla twórczej pracy katolików w dziedzinie kultury narodowej, oraz, co nie jest mało ważne, o stworzenie płaszczyzny krytyki, wyposażonej w realne środki oddziaływania na postawę pisarza.

Dzisiejsze wręczenie nagrody zamyka pierwszy etap tej pracy. Następnym będzie coraz ściślejsze precyzowanie zakresu twórczości nagradzanej, by nagrody stawały się coraz bardziej świadomym narzędziem w ręku świadomych twórców kultury współczesnej.

Problemy kultury nie kończą się jednak na sformułowaniach teoretycznych, choćby nawet te były najdonioślejsze. Może najistotniejszymi są dziś właśnie w tej płaszczyźnie zagadnienia czysto materialnej natury. Rządzą one bowiem tym — kto i w jakich warunkach może po stronie katolickiej reprezentować twórczość kulturalną.

Wykształcenie i wychowanie pisarza wymaga nie tylko potrzebnych na jego studia środków, wymaga także środków na zapewnienie egzystencji na takim poziomie, który gwarantuje rozwój a nie wegetację. Któż dziś ma te warunki zapewnić?

Okres mecenatów indywidualnych skończył się bezpowrotnie. Na dzisiejszym rynku gospodarczym twórczość kulturalna jest towarem zbyt luksusowym, by mógł stanowić stałą wartość komercyjną. Zresztą zrzucanie na pisarza, zwłaszcza młodego i początkującego, a nieraz i moculącego się z krytyką i czytelnikiem przez małą i dużą literę, stwarza widoczne niebezpieczeństwo, by jego rozwojem nie dyktowały ostatecznie względy komercyjne. Nie wolno też zapomnieć że twórczość kulturalna jest terenem, na którym ścierają się dziś przeciwstawne siły ideowe. Jedną z nich jest katolicyzm. Musi on być więc zdolny do zapewnienia swej twórczości własnej bazy materialnej, zdolnej do świadczeń dobrowolnych.

Jak dotychczas tylko jedną instytucją kulturalną katolicką zdobył sobie bezpośredni dostęp do świadczeń materialnych społeczeństwa, choć i tak nie wystarczający. Jest nią Katolicki Uniwersytet. Uczelnia ta, oparta wyłącznie o dobrowolną składkę społeczeństwa utrzymuje personel naukowy, składający się z około 80 osób, kształci 2000 studentów, zaś budżet Towarzystwa Naukowego K.U.L., jedynej większej placówki naukowo - wydawniczej katolickiej, wynosi, z tego samego źródła kilkanaście milionów złotych. Wspominam o tym nie tylko dla tego, że czołowy laureat naszej nagrody — prof. Jan Czekanowski jest jednym z filarów tej uczelni, lecz i także dla tego, że zbliża się dzień 23 maja, gdy K.U.L. zwróci się ponownie do ofiarności katolickiego społeczeństwa.

To jednak tylko jeden, wyjątkowy przykład. Sytuacja materialna na odcinku twórczości naukowej, literackiej czy publicystycznej pozostawia nadal zbyt wiele do życzenia. Nie osiągnęliśmy dotąd minimum koniecznego zorganizowania się. Brak środków nie tylko na podniesienie należyte poziomu życia i pracy naszych pisarzy, lecz brak środków na cele wydawnicze, na sprowadzanie niezbędnych obcych wydawnictw, finansowanie niezbędnych podróży zagranicę, na uaktywnienie pracy współwychowawczej katolickich pisarzy w kraju. Każdy z nich pozostawiony jest własnym siłom.

Otóż powody mimo wszystko słabych wyników, braku planu wydawniczego, braku tłumaczeń, braku intensywnie rozwijającego się wewnętrznego życia inetelektualnego w środowiskach katolickich.

Uczyniliśmy pierwszy krok, by ten stan rzeczy przełamać. Stąd idea i realizacja nagrody. Suma niezwykle skromna w stosunku do potrzeb, ogromna w stosunku do możliwości tych, którzy się na nią złożyli. Składa się ona z wielu wyrzeczeń, trudów i samozaparcia, które wsparły dary, jakie w swoim czasie otrzymaliśmy od Polaków z Ameryki. Hojność tę pragniemy dziś z wdzięcznością przypomnieć.

Jeśli mówimy o trudach zdobycia środków, to nie po to, by wyolbrzymiać wartość dokonanego dzieła, lecz po to, by przypomnieć każdemu Polakowi, dbałemu o przyszłość kultury polskiej, że ofiary są konieczne, a nie ma już dziś i na długo nie będzie łatwych gestów w tej dziedzinie!

Kultura polska potrzebuje, by katolicy zdobyli się na poważny i stały wkład materialny. Nasz krok pomyślany został jako manifestacja, przypominająca wszystkim o tej potrzebie. Akcję nagrody zamierzamy prowadzić nadal. Za rok, o ile Bóg pozwoli, pragniemy móc Państwu przedstawić nowych laureatów i następne osiągnięcia organizacyjne i materialne.

Wydaje się nam jednak, że i na tym poprzestać nie można. Trzeba się bowiem zająć młodym narybkiem pisarskim. Ci zaś młodzi kończący studenci naukowcy, literaci, publicyści, są w położeniu najtrudniejszym. Trzeba im przyjść z natychmiastową pomocą materialną i moralną. W RAMACH AKCJI NASZEJ ZAPOWIADAMY PODJĘCIE W NAJBLIŻSZYM CZASIE PRAC NAD ZEBRANIEM ŚRODKÓW NA UFUNDOWANIE STYPENDIUM, DAJĄCEGO MINIMUM KONIECZNE DLA DALSZEGO KSZTAŁCENIA SIĘ DLA ZASŁUGUJĄCEGO NA TAKĄ POMOC MŁODEGO PISARZA - KATOLIKA. Oby prace te ukoronował sukces taki, byśmy na jesieni mogli przyznać nie jedno, lecz parę podobnych stypendiów. Liczymy w tej trudnej pracy na życzliwą pomoc tych, którzy z życzliwością dziś wręczaną nagrodę przyjęli.

Oto plany. Kto z państwa powie może, że zbyt śmiałe? Być może. Nie my w istocie mamy opinię bogaczy. My jednak, właśnie dla tego, że od początku naszej działalności musieliśmy się borykać poprzez trudności materialne, doceniamy palącą wagę zagadnienia. To właśnie dodaje nam energii i otuchy.

Hanna Malewska

Nagroda Imienia Włodzimierza Pietrzaka jest bardzo zaszczytna i bardzo zobowiązująca. Nie znałam Włodzimierza Pietrzaka, tak jednak się stało, że w ostatnich dniach jego życia byliśmy blisko siebie, związani ciasnym kręgiem walczącej Starówki i tą sprawą, tak bardzo nie podlegającą wówczas dyskusji. Włodzimierz Pietrzak, tak, jak jego koledzy nam o tym opowiedzieli, zginął w momencie chwilowej ciszy, z książką w ręku, z myślą zwróconą ku przyszłości — (choć ta przyszłość była tak problematyczna) — jak na prawdziwego żołnierza i pisarza przystało. Ci, którzy wyszli cało z tego „Przemarszu przez Piekło", jak to nazwano, którzy mogą w trzecią rocznicę klęski Niemiec przyznawać nam nagrody, zwykli mówić, że mamy zastąpić poległych. Jest to warunek słuszny, ale czasem dziwnie niepewnie czujemy się, wolelibyśmy, by oni sami mogli kontynuować swoje dzieło. Dlatego, powtarzam, ta nagroda jest tak zobowiązująca. Osobiście tę nagrodę uważam za zaszczyt niezasłużony. Mówię to tym bardziej, a pisarze zgodzą się ze mną — że książki, które już od nas odeszły, są pozycją wątpliwą, nie umiemy ich sądzić. Książka staje się dla nas obca. Natomiast inna jest sprawa, jeśli chodzi o książki przyszłe, te nie mają za sobą długiego okresu przygotowań i korekt, po którym książka wydaje się zmanierowana. Może to słuszne, ale pisarskie. Książka nie napisana, przynajmniej nie wydrukowana, jest nam bliska i z nią wiążemy nadzieje.

Dlatego, powtarzam, zobowiązanie może pisarz łatwiej przyjąć, niż nagrodę, wydaje mu się, że lepiej się wywiąże na przyszłość ze swoich zadań. Jeśli chodzi o pisarza katolickiego, wspiera go poczucie obowiązku, jak to wyraził wielki pisarz, by przez całe życie dziełu swojemu poświęcał najlepsze godziny.

Powtarzam raz jeszcze: jestem bardzo wdzięczna za wyróżnienie, ale raczej uważam je za zobowiązanie na przyszłość.

Paweł Jasienica

Będąc nad Jeziorami Mazurskimi, kupiłem sobie numer „Dziś i Jutro" i stamtąd dowiedziałem się o decyzji Sądu Konkursowego, która to decyzja uhonorowała mnie nad miarę, sądzę też, że nie potrafię odwdzięczyć się lepiej, niż nawiązując do konkretu.

Mówił przed chwilą p. Wojciech Kętrzyński, że Redakcja „Dziś i Jutro" zamierza rozszerzyć swój zakres pomocy piszącym. Jeżdżąc po Polsce widuję rzeczy rozmaite, ale wszędzie rzuca się w oczy, że nowe pokolenie Polaków wychodzi z odwiecznej kulturalnej zastoiny. Ludzie młodzi silniej, niż kiedykolwiek rwą się do szkół, uniwersytetów, do kultury Dopomóc im wszystkim, a już przynajmniej tym najzdolniejszym, najbardziej obiecującym, czy może być zadanie bardziej pozytywne, bardziej realne. Inicjatywa Redakcji tygodnika „Dziś i Jutro" jest własnością zespołu redakcyjnego.

Natomiast samo wykonanie przekracza jego możliwości, tego nie zrobi żaden zespół, choćby najbardziej ruchliwy, tu potrzeba się odwołać do współdziałania mas. Uważam za swój obowiązek przyczynić się do tego.

Położyliśmy mocny akcent na Ziemie Odzyskane. Wczoraj właśnie wracałem stamtąd. Trudno napisać, czy powiedzieć coś takiego, co nadąży za tamtą rzeczywistością, idącą wielkimi krokami. Kiedyś w „Tygodniku Powszechnym" pisałem o stepach. Dziś tego stepu już nie ma. Każdy piszący obowiązany jest dostarczać ciągle świeżych i aktualnych informacji o tym, co się tam dzieje. Dla przykładu: kilka dni temu jechałem pociągiem, było tłoczno w przedziale, zdarzyło mi się siedzieć z 3 kobietami z ludu, jedną starą i dwiema młodymi. W pewnej chwili stara powiada wileńskim akcentem: „Przykro kłaść się do grobu w takie błoto". A młoda: „Nic, jak zechcą umierać niech przyjdą do nas, do Kętrzyna, tam jest piaseczek" I mnie się zdaje że ta kobieta w arcytrafny sposób sformułowała rolę Polaków współczesnych: „Gdzie jesteśmy, tam żyć musimy".

List Zawieyskiego

Drogi Panie!

Żałuję niezmiernie, że wskutek złego stanu zdrowia nie mogę przybyć na uroczystość wręczenia nagród laureatom. Pragnę na ręce Pana przesłać serdeczne gratulacje zarówno pisarzom nagrodzonym, jak również inicjatorom nagrody. Fakt ustanowienia nagrody ma duże znaczenie dla kultury katolickiej w Polsce, gdyż świadczy o żywym rozwoju tej kultury i o jej doniosłej problematyce.

Pozwalam sobie również złożyć gratulacje członkom jury za nagrodzenie tak wybitnych pisarzy, jak prof. Czekanowskiego, H. Malewską, P. Jasienicę.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Jerzy Zawieyski

Paweł Jasienica

Aleksander Rymkiewicz

W kraju...

DEKLARACJA O WSPÓŁDZIAŁANIU SL i PSL.

W poprzednim numerze pisaliśmy o mającym wkrótce nastąpić zlaniu SL i PSL w jedną całość organizacyjną. Krokiem wstępnym i jak gdyby pierwszym etapem w realizacji politycznej jedności partii ludowych było podpisanie przez komitety wykonawcze SL i PSL deklaracji o współdziałaniu, uchwalonej w dn. 10 maja b. r. Z wypowiedzi przedstawicieli obu stronnictw ludowych, wynika, że tworząca się partia chłopska w dziedzinie tradycji ideologicznych zrywa z agraryzmem, a w dziedzinie tradycji politycznych z koncepcją reprezentowaną swego czasu przez Front Morges.

Nazwa Frontu Morges wywodzi się od nazwy szwajcarskiej siedziby I. Paderewskiego. Usiłował on wespół z Sikorskim i Korfantym zmontować blok Chrześcijańskiej Demokracji, Stronnictwa Narodowego i Stronnictwa Ludowego, który miałby się przeciwstawić obozowi sanacji. Wobec nieustępliwej postawy Stronnictwa Ludowego, usiłowania te spełzły na niczym.

Nie wdając się w merytoryczną ocenę zdarzeń, które obserwujemy na terenie ruchu ludowego, należy stwierdzić obiektywnie, że rozczłonkowanie polityczne wsi polskiej w ramach panującego ustroju nie sprzyjało dziełu stabilizacji ekonomicznej na odcinku wiejskim i z tego punktu widzenia fuzja stronnictw chłopskich jest niewątpliwie zjawiskiem pozytywnym

MIN. CLEMENTIS W POLSCE.

WIZYTA czechosłowackiego Ministra Spraw Zagranicznych w naszym kraju jest doniosłym wydarzeniem politycznym, dla każdego kto dostrzega związek między umocnieniem naszego stanu posiadania na Pomorzu Zachodnim a zainteresowaniem Czechosłowacji w utrzymaniu przez Polskę portu w Szczecinie. — W dniu 14 bm. nastąpiło tam uroczyste przekazanie Czechosłowacji terenów w obrębie strefy wolnocłowej. Obejmuje ona półwysep „Ewę" oraz tereny leżące po drugiej stronie kanału Dębickiego. Czechosłowacja stanowi pozycję dominującą w tranzycie przez Polskę. Obecna wizyta czechosłowackich ministrów zbiegająca się z wizytą czechosłowackich prezesów Izb Przemysłowo-Handlowych i techników czeskich ustalających rodzaj inwestycji na terenach, które mamy wydzierżawić przedsiębiorstwom czeskim, niewątpliwie przyczyni się do wzmożenia tranzytu. Jeżeli uda się nam skierować cały handel zagraniczny Czechosłowacji na nasze porty, prócz obustronnych dużych korzyści ekonomicznych zyskamy jeden więcej atut polityczny o znaczeniu międzynarodowym. Tak więc nasza przyjaźń z Czechosłowacją z dniem każdym nabiera coraz więcej elementów trwałości, gdyż zogniskowanie życiowych interesów obu państw dowodzi, że nie mamy do czynienia z naciąganym sentymentem czy też z chwilową koniunkturą polityczną.

OFIARA złożona na Katolicki Uniwersytet Lubelski to wyraz troski o ideały naszej młodzieży

Z. H. Z. Stekluczlich

Nad Rudnickim

Rudnicki wysunął się zdecydowanie na jedno z czołowych miejsc naszej literatury powojennej. Jego trzy książki: „Szekspir", „Profile i drobiazgi żołnierskie" oraz „Żołnierze" zwróciły ogólną uwagę. Chociaż dwie ostatnie pozycje są wznowieniami wydań przedwojennych zainteresowanie twórczością Rudnickiego jest pełne niekłamanego dynamitu i szczerości. Jest to ciekawy wypadek przeczucia przez masy czytelnicze tych treści w dziele pisarza, które są im bliskie, do których, być może — podświadomie, tęsknią: **treści ludzkich.** Może to brzmieć jako frazes lub ogólnik, ale jest stwierdzeniem faktu. W Rudnickim występuje żywy boleśnie bezpośredni, niejako psychicznie obnażony a może przez to tak pociągający **motyw człowieka walczącego o siebie.** I on jest jedyną — obok artyzmu — z sił najmocniej oddziaływujących. I on zapewnia książkom wielką rolę w literaturze powojennej. I on zachęca do podjęcia próby oceny jego trzech wydanych po wojnie utworów.

oOo

Rudnicki Adolf. „SZEKSPIR". Warszawa 1948 „Książka". Str. 241, nbl. 3.

W „Wielkanocy" włączonej do nowoogłoszonego tomu opowiadań Rudnickiego „młoda, czarna kobieta, która nie doczekała" mówi: „Żeby to choć ktoś napisał. Wzniósł wysoko pod słońce, dał świadectwo ich życiu i temu nieludzkiemu i tak pięknemu ich końcowi. Jeśli jeden pozostanie, niechby on to w Biblii napisał! Żeby ludzie z za siódmego morza przyjeżdżali pod te mury — i tak płakali jak my dzisiaj". Zgodnie z mocno sformułowanym zdaniem, że „tylko tyle jesteśmy warci, ile kochamy naszych zmarłych" Rudnicki śmiało podejmuje najcięższe, najtrudniejsze zadanie — zorganizowania w wizję poetycką okresu ostatniej wojny. Wszystkie opowiadania tłumaczą nam jedno zagadnienie — stosunek jednostki, która przeżyła, do przeszłości, wskazują na jednego człowieka — pisarza zmagającego się z rzeczywistością wojenną, która zgodnie z poczuciem obowiązku wobec tych, którzy nie doczekali, musi utrwalić w kształcie artystycznym, uwiecznić w historii.

Rudnickiego jako pisarza cechuje wielka odwaga w dotykaniu najtragiczniejszych, najbardziej bolesnych miejsc naszej historii wojennej. Rudnicki pisze o Żydach. Zmusza nas do powrotu w atmosferę okupacji, do rewizji naszego stosunku do kataklizmu wojny. Każe nam raz jeszcze spojrzeć na tragedię żydowską i wstrząsa nas artystyczną wizją, choć pokazuje przecież tylko wycinek tego, cośmy wtedy widzieli. Czyśmy dostatecznie głęboko przeżyli wojnę? Czyśmy rozwiązali uczciwie zagadnienia tak trudne, jak problem wyniszczenia narodu żydowskiego, jak problem winy i kary w odniesieniu do Niemców? W czasie wojny żyliśmy z dnia na dzień. Za pierwszy obowiązek każdego z nas uważaliśmy to, żeby przeżyć, ocaleć od zagłady zarówno fizycznej jak moralnej. Jakże żywy był w nas — instynkt samozachowawczy. Mówiliśmy: nie chcemy słyszeć o tych okropnościach. A poza tym — wyobraźnia ludzka jest ograniczona, nie reaguje silniej na zniszczenie setek tysięcy ludzi, niż na śmierć dziesiątek tysięcy, przy takich cyfrach nie ogarnia się sensu różnic ilościowych. Trudno jest uchwycić miarę rzeczy, kiedy się żyje historycznością każdej chwili.

Rudnicki nie stara się o sprawiedliwą ocenę zjawisk. „Ból i głód leczą człowieka z obiektywizmu, nie spotkałem go nigdzie na wojnie" — mówi bohater „Wielkiego Stefana Koneckiego". Z namiętnego, uczuciowego toku narracji wynika wyraźnie potępienie postawy społeczeństwa polskiego wobec Żydów, **żal ludzi prześladowanych do ludzi bezpiecznych.** „Nabożeństwo wreszcie się skończyło. Wyświeżeni, pachnący, dalecy — jakby zza morza — wysypali się mężczyźni i kobiety — jakże inni (od Żydów uprzątających śnieg przed kościołem — przyp. mój). Dwa tysiące lat temu umarł Ktoś dla nich. I naprawdę patrząc na losy tak niepodobne, przez chwilę mogło się wydawać, że ciągle jeszcze umierał, aby ich chronić...". Sformułowanie piękne, lecz jakże demagogiczne. Czytelnik pozostający pod sugestią przepojonego pasją opowiadania dopiero po chwili zastanowienia uświadamia sobie, że Niemcy niszczyli Żydów ze względów zgoła nie religijnych, że wartość idei chrześcijańskiej nie polega wcale na ochronie wybranej garstki wiernych przed nieszczęściami ziemskimi. Autorowi jednak nie chodziło tu o trafną interpretację antysemityzmu niemieckiego czy filozofii chrześcijańskiej. Istotna jest tu tylko prawda psychologiczna. Niemal wszędzie tam, gdzie obserwujemy subiektywizm, stronniczość w naświetleniu faktów historycznych, odnajdujemy motywację artystyczną w przedstawieniu psychiki bohaterów. Wyjątek stanowi „Major Hubert z armii Andersa", wyróżniający się z całego tomu łatwizną i płytkością rozwiązań.

Oryginalną cechę konstrukcji opowiadań Rudnickiego stanowi metoda, jaką autor łączy tło historyczne z akcją noweli. Wbrew tradycji powieści historycznej wypadki dziejowe nie są pokazane poprzez losy bohaterów, oglądane ich oczami. Rudnicki odmalowuje tło szerzej i dokładniej, niż mogłaby je poznać którakolwiek z jego postaci. Tok akcji przerywa staranna, rzeczowa relacja faktów wojennych. Relacja ta nie nie wypada poza styl reportażu, operuje wieloma szczegółami, budzi oddźwięk we wspomnieniach własnych czytelnika jak opowiadanie o rzeczach tak dobrze znanych, a przecież przez drugiego człowieka widzianych nieco inaczej. Siłę sugestii potęguje swoboda, z jaką autor wskazuje ludzi rzeczywistych, ogólnie znanych, wymieniając wprost ich nazwiska, lub posługując się przejrzystymi pseudonimami. Fragmenty obserwacyj, opinie, charakterystyczne wyrażenia starannie poskładane tworzą nastrój realności, narzucają czytelnikowi przekonanie o autentyczności relacji.

Na drobiazgowo realistycznym tle rozgrywają się tragedie bohaterów. W przedstawieniu ich losów Rudnicki nie troszczy się o prawdopodobieństwo wypadków zewnętrznych, o typowość dziejów jednostek reprezentatywną w stosunku do dziejów całego narodu. Wojna przekonała nas, że nie ma w życiu rzeczy niemożliwych, że przypadek — jakże często kieruje ludźmi w najmniej oczekiwany sposób. Inna sprawa, że nie wszystko co uznajemy w życiu jako możliwe czy prawdziwe, jest do przyjęcia w dziele sztuki jako słuszne artystycznie. Otóż bohaterowie Rudnickiego podlegają takim właśnie „ślepym trafom" Moglibyśmy się spytać: dlaczego pierwszą osobą, którą Abel spotyka po powrocie z sześcioletniej niewoli na gruzach ghetta jest jego żona, Amelia? Dlaczego na zgubę Daniela składa się zbieg tragicznych wypadków nieuchronnie pchających go do katastrofy? Atmosfera jednak utworu jest taka, że sprawa prawdopodobieństwa szczegółów życiowych ustępuje przed tym, co głównie nas interesuje: przed nieomylną logiką motywacji psychologicznej. Dlatego nie budzi w nas sprzeciwu fakt, że wszyscy bohaterowie tłumaczą swe myśli takim samym językiem, takim samym stylem, że wypowiedzi autorskie łączą się z dialogami, że zaciera się różnica między refleksjami pisarza i bohaterów. Bo nie to jest ważne — ważny jest człowiek i jego walka z losem.

Bohaterów Rudnickiego — przedstawicieli narodu skazanego na zagładę — łączy motyw przewijający się przez wszystkie nowele — ich bezdomność. „Ludzie póty mogą żyć spokojnie, póki dom ich jest domem, przystanią, miejscem spokoju" (Koń). „W ostatniej wojnie nikt tak silnie jak Żydzi nie odczuł tego, iż człowiek jak ślimak, tak długo żyje, jak długo posiada dom" (Ginący Daniel). „Tym się właśnie szczęśliwi różnią od nieszczęśliwych: ostatni nigdzie nie są w domu" (Czysty nurt). Tęsknota za domem to wspólna cecha bohaterów tej tragedii żydowskiej.

Książka będąca owocem tak świadomej pracy artystycznej razi jednym — niedbalstwem stylistycznym. Nie chodzi tu o mnogość wyrażeń gwarowych, choć za parę lat będą one wymagały komentarzy. Wyraźną szkodę przynoszą utworowi niestarannie zbudowane zdania, w których brak czasami części zupełnie zasadniczych dla ich sensu. Metoda uplastyczniania opisu za pomocą porównań dochodzi miejscami do nużącej maniery, np. w ustępie: „Leżałem na tapczanie **jak na dnie dużego klosza.** Ściana po prawej stronie **jak wzgórze w czas powodzi**, najdłużej zachowała jasność; po tej stronie przedmioty bielały **jak kości nieznanych stworów.** Niedzielny zmierzch jest porą kiedy czas się zaciera, zmarli zlewają z żywymi, jakieś ogromne kable prowadzą w wieczność, rozpoznawalną **jak miasto młodości.** Zmierzch nakrywał tę wieczność **jak obrus stół".** (Wielki Stefan Konecki).

Wreszcie wskazać można na drobne niekonsekwencje treściowe: podczas wędrówki przez powstańczą Warszawę Daniela ostrzegają: „Uwaga! Głowa wyżej!" (Ginący Daniel). Nie umiem sobie wyobrazić takiej sytuacji ogniowej, w której podniesienie głowy wyżej mogłoby zwiększyć bezpieczeństwo człowieka znajdującego się pod obstrzałem. Niedokładne cytaty: „W Hamlecie Klaudiusz (tzn. król — przyp. mój) nie chce zabić modlącego się króla". (Ginący Daniel).

Pewnie, że są to drobiazgi. Ale warto je wskazać właśnie dlatego, że chodzi o ważną pozycję w naszej literaturze powojennej.

„Profile i drobiazgi żołnierskie" — Adolf Rudnicki, wyd. „Książka", wyd. II., 1946 r., str. 151.

Mała książeczka, zawierająca zaledwie 150 stron — i to już z przedmową autora do drugiego wydania i Karola Irzykowskiego — do pierwszego przedwojennego — niesie czytelnikowi dużą, ważką treść.

Tytuł doskonale określa gatunkowość i konsekwentnie z nią związaną szkicowość treściowej struktury. Bo nie ma tu żadnych wątków, żadnej ciągłości akcji, nie ma nic — co by przypominało powieść z tradycyjnymi, niezbędnymi jakościami, centralizującymi zawartość utworu w określonych ramach wycinka rzeczywistości.

A jednak cały duży materiał „drobiazgów" kojarzy się w całość bynajmniej nie siłą przypadku. Mozaika powszednich wydarzeń, tłum fragmentarycznie uchwyconych żołnierskich postaci — dają w ogólnym swym wyrazie jednolitość, jednoznaczność, — stwarzają fikcję życia w wojsku, odpowiadającą oczekiwaniom czytelnika, który mechanizm tego życia zna choćby tylko z powierzchownej obserwacji.

Efekt taki osiągnięty mógł być nie tylko dzięki podobnym proporcjom w wymiarach realnych wojskowego życia. Materiał, można by rzec, rzeczowy, doświadczalny powiązany został i ożywiony refleksją autora-obserwatora. Osią krystalizacyjną niezależnych, zdawałoby się, od siebie, najdrobniejszych wydarzeń, — sejsmografem, chwytającym wszystkie niedostrzegalne na pozór w żołnierskiej masie drgnienia sił, wyznaczających prawa stosunków międzyludzkich — jest tu czujna myśl autora, odkrywająca i tłumacząca sens życia.

To ostatnie decyduje o tym, że „Profile" są raczej książką o życiu, o człowieku, niż o wojsku. To, że teren obserwacji jest tak charakterystyczny, tak odmienny od codziennego, powszedniego tła przeżyć wszystkich „cywilów" — stanowi dla czytelnika ciekawy urok nowości, daje posmak zgłębianej tajemnicy, odseparowany formą organizacyjną i ceremoniałem wewnętrznym życia w koszarach. Autorowi zaś ten specjalny odcinek pozwala poznawać prawdę o człowieku w warunkach konfrontujących go najelementarniej, najistotniej z samym sobą i — innym człowiekiem. Naturalnie nie można zapominać o stosunku uczuciowym, wiążącym autora z terenem jego ciekawego „laboratorium". Ze skąpych, skondensowanych do ostatecznych granic, prostych słów — płynie serdeczny ton przywiązania, zażyłości mocnej z całym tym prymitywnym aparatem życia, który pozwala dotrzeć do najsurowszych dziedzin psychiki i nieomylnie wykazać zawsze choćby „ograniczone człowieczeństwo, ale jednak człowieczeństwo".

To największa troska i największa satysfakcja Rudnickiego. To jednocześnie wielka wartość książki. To źródło prawdziwego wzruszenia czytelnika. Wzrusza nie tylko rzetelny, pozytywny stosunek do człowieka najbardziej „szarego", najmniej — zdawałoby się — ciekawego, o którym choć tylko to można powiedzieć, że „chytry", ale przecie jakąś uczciwością nacechowany", — choć piękny „złą pięknością", — ale niechże się tylko uśmiechnie".

Niezwykle ekspresyjna przez swą prostotę, a jednocześnie jakże jędrna, żywa treścią jest forma bezpośrednich wypowiedzi autora. Gdy się zachwyca jakimś dodatnim typem, dostrzeżonym w żołnierskiej masie, to powie po prostu: „Człowiek jak drzewo, jak źródło, jak ładny zagajnik. Zdarzają się — jaki ból! jaka radość! — takie istnienia!"

Atmosferę bezpośrednich, fizycznych niemal doznań w obcowaniu z duszami prostymi a wspaniałymi, z potrzebami prostymi lecz koniecznymi — określi autor sugestywnie jako „ostry i dotkliwy zapach Polski tutejszej".

Jest w tych wszystkich uwagach jakieś napięcie przemyśleń, jest ukochanie życia — nie w formie wybranej, wysublimowanej — ale życia prostego, — jest jakaś pasja poznania. Są takie jasne, mocne zdania, że „piękno tkwi we wszystkim", że „tęsknota określona, wyraźna, jednoznaczna — jest przecież najpełniejszym, najgłębszym życiem".

To są momenty książki cenne — w przeżyciu niekłamanym autora i w odczuciu czytelnika.

W niewielkim stosunkowo dystansie od pierwszoplanowych zagadnień człowieka wyczuwa się specyficzny świat spraw wojska. Trudno tu mówić o wyczerpującym obrazie, o syntezie. Znów przede wszystkim daje się zauważyć krytyczny, nawet reformatorski stosunek autora, który hierarchizuje, prześwietla, przenicowuje uświęcone szablonem realia — poprzestając zresztą na niedomówieniach, na niezobowiązującym rzucaniu myśli.

Trudno nie zauważyć, że „Profile" są cennym, wartościowym, wymuskanym szkicem. Czasem zawiłe i niejasne procesy psychiczne tłumaczą się tu zbyt łatwo, zbyt nieskomplikowanie. Powstaje więc niebezpieczeństwo traktowania ich zbyt płytkiego, a gdy się go świadomie unika — niesposób nie ulec chęci rozszerzenia, pogłębienia, odsunięcia w bujniejsze tło przeżyć materiału konkretnych faktów.

W związku z tym pozostaje w czytelniku wrażenie, że poznał książkę, która powinna się rozrość, spotężnieć — mocą swych własnych, wewnętrznych, sprężonych sił. Ale jednocześnie pozostaje wrażenie artystycznego przeżycia.

Adolf Rudnicki „Żołnierze", wyd. II, „Czytelnik", 1948, str. 167.

To, co w „Profilach i drobiazgach" naszkicował jakby w notatniku pisarskim, rozwinął, pogłębił i wycieniował Rudnicki w „Żołnierzach". I tu i tam obiektem wnikliwej analizy psychologicznej są typy deformowane psychicznie na pewien okres przez machinę regulaminu wojskowego, gwałcone przez bezwzględne rygoroza służby wojskowej. I tu i tam spoza munduru żołnierza wyrywa się i krzyczy o swojej zniewadze człowiek, i tu i tam w kącie izb koszarowych płacze bezsilne lub mściwe, tępe i zrezygnowane lub boleśnie szukające ratunku, ale prawie zawsze znieważone życie. I tu i tam nasuwa się uwaga, że Rudnicki, to nie wróg tego, czy innego systemu, przyjaciel tej czy innej doktryny społecznej, ale przede wszystkim wróg niewoli, przyjaciel ludzi.

Ta właśnie ponadklasowość, postawy Rudnickiego pogłębia wyraźny sens humanistyczny jego twórczości. Jednostka ludzka nie jest determinowana w ujęciu tego pisarza żadnymi zewnętrznymi uwarunkowaniami, określa się swoim wnętrzem, zespół jej cech hierarchizuje ją na drabinie wartości. Ale to nie znaczy bynajmniej, aby Rudnicki widział rozwój jednostek w jakiejś izolacji, aby je emancypował spod wzajemnych na siebie wpływów. Właśnie w „Żołnierzach" okazał się mistrzem analizy owych zależności wewnętrznych. Rozgmatwanie postępków Skowyrdy czy Biskuzniewicza to nie tylko jeszcze jeden triumfik psychologicznego rozdzielania włosa na czworo, ale to przede wszystkim — krok bliżej ku poznaniu człowieka, jedna droga więcej ku wyzwoleniu go z własnej nieświadomości motywów postępowania, z własnej niewiedzy o ludziach. Pasja poznawcza autora, o której wypadło mówić przy poprzednio ocenianej książce, pasja polegająca na tym, że autor pragnie dotrzeć do najgłębiej skrytego dna człowieka dała w wyniku tłum zindywidualizowanych postaci, z których każda niemal dźwiga w sobie jakiś problem społeczno-moralny, jakiś kompleks, a już w najgorszym wypadku — zespół ostrych, bolesnych urazów. Specyficzne warunki życia koszarów modlińskich prześwietlają cały ten tłum ostrym, chwilami rażącym światłem. W tym prześwietlonym obrazie najwyraźniej — siłą rzeczy — występują czarne plamy. Chwilami trudno nie podejrzewać autora — mimo wiary w ponadklasowość o to, że dał się opanować błędom stronniczości, że za dużo plam czarnych i krwawych. Nieufność tę zwycięża sam autor. Czym? Tym samym, czym okupuje pomyłki swoich komentarzy historyczno-politycznych w „Szekspirze": prawdą psychologiczną, wielką sugestywnością przedstawień, bezpośredniością środków analizy psychologicznej, a jednocześnie ich wielką precyzją. Czytelnika porywa, wcią-

ga bez reszty bolesna żądza „grzebania się w człowieku", tłumaczenia zawiłego algebraizmu postępków na prosty język motywów, żądza poznania ukrytych sprężyn najabsurdalniejszych często wyczynów, głód wiedzy o nas samych.

I tylko temu pogrążeniu czytelnika w nurt pasjonujących swoją treścią dociekań, zawdzięcza Rudnicki tak małą stosunkowo liczbę listów protestacyjnych czy zażaleń pod adresem formy swoich książek, ich braków stylistycznych i kompozycyjnych.

O stylistyczno-syntaktycznych dolegliwościach Rudnickiego powiedziano już przy „Szekspirze". Tu wypadnie dodać jedno. Próby rozłamania szablonu składniowego równoważnikami zdań czy intensywnym nasycaniem tekstu zdaniami eliptycznymi zawodzą. Tak jak stosowanie przez Gołubiewa łamanie jednego członu zdaniowego na ułamki sprowadzane później podmiotem do wspólnego mianownika nie zdało egzaminu wyrazistości, a co za tym idzie — ekspresji.

U Rudnickiego wyczuwa się brak jeszcze jednej korekty: kompozycyjnej. Musiałaby ona dosyć radykalnie zmienić układ jego książek. W „Profilach i drobiazgach" szkicowy charakter utworu usprawiedliwiał jeszcze luźność powiązań kompozycyjnych i przypadkowy porządek przedstawień. W „Żołnierzach" brak wyraźnej osi kompozycyjnej, brak przemyślanej chronologii opisów (bo nie zastąpi jej upinanie się ku górnym szczeblom szarż: od rekruta do kapitana), brak przemyślanego układu charakterystyk — dokucza i razi w „Szekspirze" starał się Rudnicki zaradzić temu wyprowadzeniem tzw. przewidującego przypadku (jak w przytoczonym przykładzie z „Czystego nurtu"), ale i tym razem dowiódł, że umiejętności kompozycyjnych musi się dopiero dopracowywać. Życzyć mu należy jak najowocniejszych trudów ze względu na niego, na „Epokę Pieców" i masy czytelników.

Uwagi, które się nasunęły w powyższym artykule po przeczytaniu „Szekspira", „Profilów" i „Żołnierzy", nie miały, jak jasno z ich charakteru powinno wynikać, najmniejszych nawet ambicyj ujęcia całokształtu zjawiska: Rudnicki.

Dotknęły one jedynie kilku charakterystycznych cech jego twórczości, aby podkreślić przede wszystkim jej głęboko humanistyczny sens. Dzięki niemu Rudnicki jest nam jako pisarz drogi i bliski.

Z. H. Z. Stekluczklich

Pod znakiem debiutu

Staraniem redakcji „Słowa Powszechnego" odbył się w dniu 6 maja b. r. poranek literacki młodych poetów łódzkich. Józefa Hertla, Andrzeja Wirtha, Józefa Szczawińskiego, oraz Wacława Olszewskiego.

Słowo wstępne wygłosił Jerzy Zawieyski. Zapoznając publiczność z twórczością wspomnianych poetów, wybitny pisarz katolicki stwierdził na początku, że cechą zasadniczą, która wyznaczyła kierunek i rodzaj ich postawy poetyckiej jest negacja materializmu. Ich poezja jest próbą szukania nowych dróg zarówno w formie jak i treści. W sensie ideologicznym nie jest to twórczość jeszcze dojrzała, ale niesie w sobie zapowiedź oryginalności harmonii wewnętrznej. Nie jest ta także twórczość już w pełni katolicka, aczkolwiek zdaniem J. Zawieyskiego „sensus katholicus" przebija w strofach ich wierszy. Na marginesie analizy dorobku poetyckiego młodych autorów Zawieyski poświęca następnie kilka głębokich uwag zagadnieniu warunków stawianych literaturze katolickiej, a zwłaszcza poezji. O tym czy dany autor jest katolicki, decyduje istnienie jakiegoś wewnętrznego nurtu jego poezji, wyrażającego się w transcendentnej więzi poety z Bogiem i porządkiem wszechrzeczy. Mówca zaznacza, że nurt ten jest szczególnie bliski poezji polskiej, która od Janickiego poprzez Mickiewicza i Norwida znajduje wyjaśnienie życia w Bogu i miłości.

Ponieważ akcenty te nie są obce także niektórym utworom młodych poetów łódzkich J. Zawieyski wyraża przekonanie, że dalsza ewolucja zbliży ich całkowicie do katolicyzmu. Słowami zachęty kończy Zawieyski swą krótką lecz ciekawą wypowiedź oddając głos pierwszemu z poetów Hertlowi.

W technice poetyckiej Hertla uderza racjonalna i prawdziwie inteligentna gospodarka słowem. Widać, że autor potrafił nadać swojej poezji właściwą ekspresję. Jego różnorodne w treści utwory posiadają pewien niekłamany urok. Do takich w pierwszym rzędzie zaliczyć należy wiersze p.t.: „Trawa na gruzach", „Dzieci i Lilie", „Na kasprowiczowej harendzie", „Zabawa w sklep", „Radio i telewizja".

Utwory Hertla są krótkie, ale dobrze oddają klimat duchowy w jakim powstawały. Każde słowo wdraża się w nerw odbiorcy, wyczuwa się w nim władzę rytmu. Szkoda tylko, że forma Hertla jest znacznie dojrzalsza od treści jego wierszy. „Sensus Catholicus" o jakim mówił Zawieyski przebija w nich bardziej refleksyjną zadumą, niż zwycięstwem poznania. Humanizm, jaki cechuje utwory, tego dobrze zapowiadającego się autora, nie rowiązuje jeszcze potrzeby samookreślenia się w świecie. Jest warunkiem sine qua non niemal każdej prawdziwej sztuki, ale nie wystarcza do przeżyć gwarantujących pełnię człowieka, Polaka i artysty.

Drugi z kolei poeta Andrzej Wirth zaprezentował się na początku jako obiecujący tłumacz poezji rzymskiej. Ody Horacjusza, przełożył z dużą inwencją, i wyczuć. Kto wie czy właśnie ten kierunek nie leży bardziej w możliwościach Wirtha, niż oryginalna twórczość. W każdym razie na początku. Utwory własne budzą bowiem w jeszcze wiekszym stopniu zarzuty stawiane poezji Hertla, lecz nie posiadają walorów jego wierszy. Dysproporcja treści i formy występuje tu jeszcze silniej mimo, że kunszt poetycki jest mniej dojrzały.

Wirth jest poetą estetyzującym — budowę zdań przeciąża barakowość porównań, niezawsze przekonywujących. Jeśli jednak owa troska o formę jest wyrazem trwałych poszukiwań właściwego kierunku poetyckiego, barokowość utworów Wirtha trzeba uważać za objaw przejściowy, o ile autor skrystalizuje w sobie zdecydowaną postawę ideowa. Niektóre wiersze (Modlitwa, Przeczucia), pozwalają wierzyć, że przemiana ta nastąpi. Wpłynie to zasadniczo zarówno na problematykę jego poezji, jak i na formę, którą brak treści ideowych ogranicza do zwykłej choć nieraz ponętnej igraszki słowa.

3. Twórczość Szczawińskiego jest bez wątpienia najbardziej zbliżoną do katolicyzmu, choć katolicyzm ten bardziej zdradza estetyczne upodobania autora, niż jego zasadniczą postawę literacką „Katedra", „Do Św. Franciszka". Język Szczawińskiego jest prosty i naturalny, lecz nie dość wygładzony. Wiersz „Sierpień" zasługuje na wyróżnienie z tego względu, że jest on bodaj jedynym utworem bezpośrednio poświęconym przeżyciom okupacji i Powstania. Prawdziwie humanistyczny jest utwór „Pastel", chyba najlepszy z odczytanego zbiorku.

Osobne miejsce trzeba poświęcić twórczości ostatniego z gości Wacława Olszewskiego. Jego rodzajem poetyckim jest cięta, trafiająca w sedno problemu satyra. Olszewski ma zadatki na rasowego przedstawiciela tego tak trudnego gatunku literackiego. Musi jednak intensywnie popracować nad fonetyczną czystością języka. Również sposób recytowania budzi liczne zastrzeżenia. Za to jego satyra ma tempo, pisana jest prawdziwym nerwem. Czuje się w niej mocne i bolesne przeżycia, długo tłumiony bunt, dźwięczy w niej pasja, której brak było jego wszystkim poprzednikom. Ale pasja ta jak każda pasja wynika z ukochania czegoś lub nienawiści do czegoś. Posiadanie tych uczuć wyznacza człowiekowi postawę wobec życia. W klimacie silnych napięć uczuciowych rodzą się dopiero problemy.

Olszewski atakując współczesność zarówno w aspekcie cywilizacyjnym („Z liryczną puentą", „W szpitalu", „Na konferencji", „Dwie Epoki") jak i ideologicznym (Historiografia — projekty) dowiódł, że potrafi wartościować i oceniać zjawiska dziejące się w świecie. Sądzę, że za to właśnie zrozumienie publiczność nagrodziła go hucznymi oklaskami.

Reasumując ogólne wrażenia, „Poranek łódzki" był dość udanym debiutem młodych autorów w Warszawie, którzy o ile nadadzą swoim artystycznym przeżyciom pełniejszy sens ideowy, znajdą dla siebie niebawem właściwe miejsce w współczesnej poezji polskiej.

J. M

Wędrówki po scenach polskich

JESZCZE RAZ O „BANKIERACH RUIN".

Po swojej pierwszej recenzji mógłbym z czystym sumieniem zrezygnować z powracania do wystawionej ostatnio przez teatr „Placówka" sztuki Ważyka p. t. „Bankierzy ruin". Mimo bowiem ponownego obejrzenia tej komedii, nie zmieniłem swego zdania od czasu spektaklu katowickiego. Ponieważ jednak w obu prezentacjach zarysowały się pewne dość zasadnicze różnice, muszę o nich wspomnieć.

Nie wiem skąd wzięły się te różnice. Albo Ważyk po smutnych doświadczeniach na Śląsku rozbudował nieco swą sztukę dla „Placówki", albo, co jest prawdopodobniejsze, niedoświadczona reżyserka katowicka dokonała nieumiejętnych skrótów. Chodzi o bardzo drobną pozornie scenę w której Ewa, zostawszy sama, otwiera „Życie Warszawy" i mówi symbolicznie: Życie Warszawy rok 1945. Komentarz ten ma dla widowni duże znaczenie. Charakterystycznym jest fakt, iż tego wyjaśnienia zabrakło właśnie w Katowicach, a więc tam gdzie był on niezbędniejszy.

Przyznaję otwarcie, że jakoś łatwiej jest mi obarczyć winą za ten ważny szczegół reżyserkę prapremiery, tym bardziej, że dobra konfrontacją błędów tamtego spektaklu była scena końcowa sztuki. W Warszawie można było bez trudu domyśleć się, iż Ewa i Feliks wyciągną ze swoich przeżyć jakieś wnioski pozytywne na przyszłość. W Katowicach Wanda Wróblewska zagmatwała tę scenę zupełnie tak, że rodzeństwo wyglądało na zagubione.

Wskazanie tych dwu (a znalazło by się więcej) scen daje przewagę reżyserii Perzanowskiej i... w pewnym sensie rehabilituje Ważyka. Przynajmniej jasne się stało, iż Katowice pomogły w sposób bardzo wydatny do zawalenia się sztuki. Trudno mi jest jednak, mimo uznania wysiłku zarówno Perzanowskiej, jak i całego zespołu, przewidywać, by Warszawa mogła dać Ważykowi sukcesy. Do wysuniętych już w uprzedniej recenzji zarzutów dochodzi jeszcze jeden, może najważniejszy: źle jest jeśli autor uznaje za niezbędne podać publiczności komentarz do sztuki, którą za chwilę mamy ujrzeć na scenie.

„Nazwałem „Bankierów ruin" komedią, bo... i t. d. — pisze Ważyk w dołączonej do programu „Łodzi Teatralnej" (Nr. 9/17). Wydaje mi się iż spektakl powinien powiedzieć wszystko i wszystkim. Jeśli w spektaklu nie czuje się komedii — żadne komentarze nie pomogą. Aby zamknąć całą opinię o sztuce Ważyka w jakimś krótkim zdaniu powiem: „Bankierzy ruin" to utwór literacki „do czytanie" w żadnym wypadku „do grania". Piszę te słowa bez względu na nieco naiwne argumenty Jana Śpiewaka (patrz „Łódź Teatralna" j. w.). Istnieją bowiem wbrew jego opinii odrębne wartości literackie i teatralne. Nie oznacza to wcale iż dzieło teatralne może być nieliterackie, natomiast dzieło literackie może nie być teatralne. Ważyk jest dobrym pisarzem — niestety kiepskim dramaturgiem. Nic na to nie poradzę.

Będę może niesprawiedliwym w stosunku do reszty zespołu, ale (ulegając wpływom prapremiery katowickiej) z wykonawców wyróżnię tylko Władysława Kaczmarskiego (Prząśnik) — tylko dla tej postaci bez zawodowego poświęcania się przetrzymałem konieczność wysiedzenia do końca na oglądanej po raz drugi słabej sztuce.

W „MINIATURACH" PRAPREMIERA.

W „Strzałach na ulicy Długiej" *) nie słychać ani jednego strzału. Były przed podniesieniem się kurtyny, będą (przypuszczalnie) w chwilę po jej opadnięciu, ale w czasie akcji ich nie ma, chociaż rewolwery są widoczne. Publiczność, jak się okazuje, pragnie jeszcze (niestety) ciągle je słyszeć skoro niechętnie rusza się z miejsc po trzecim akcie. A może to tylko wada zakończenia?

Problem umiejętnego rozwiązania sztuki teatralnej należy do najtrudniejszych spraw w pisarskim rzemiośle. Na tej końcowej przeszkodzie przewróciło się już wielu dramaturgów. W dyskusji nad „Rozdrożem miłości" jeden z księży dopatrzył się tego właśnie błędu u Zawieyskiego. Według opinii dyskutanta rozwiązanie tego typu, rozwiązania tragiczne są rzadkością. Życie zwykło najtrudniejsze powikłania rozwiązywać znacznie łagodniej, prościej. Nie godziłem się wówczas z tą opinią. Uznałbym jej słuszność, gdyby chodziło o powieść. Z dramatem sprawa ma się nieco inaczej. Autor sztuki teatralnej, ze względu na specyficzność wymagań scenicznych, winien (tak się przynajmniej utarło) skończyć akcję momentem dość radykalnym, niespodziewanym, krótko mówiąc „dramatycznym". Powieść polega na tym, by dla tej „dramatyczności" nie zrezygnować z logiczności, z rozsądku. Ten drugi, przykry wypadek zdarzył się autorce „Strzałów na ulicy Długiej". Zamierzenia były ciekawe i interesujące. Można by z dużą słusznością mieć pretensję do autorki za to iż nie pokusiła się o przedstawienie w sztuce kobiety, która szukała sposobów na zwolnienie męża z obozu na innej drodze. Tematu jednak pisarce narzucać nie można, nie zaleca tego nawet planowanie kulturalne. Wystarczy mieć świadomość, iż Lole należały raczej do wyjątków i przejść nad tą sprawą do porządku dziennego. Niech więc będzie Lola. Właśnie Lola. Nabroiło biedactwo w dobrej (?) wierze nie mało, zorientowało się, że takie życie nie ma sensu, ale nie mogło się jakoś z niego wyrwać. Wiadomość o śmierci męża uświadamia jej całą niskość składanych dla jego ratowania ofiar(?) i staje się przyczyną depresji, której dnem decyzja samobójstwa. Przypadek ratuje ją przed tym krokiem, po to by za kilka dni nastąpiła znowu to sama decyzja po raz drugi, tym razem pod innym płaszczykiem, jako patriotyczna ofiara na ołtarzu sprawy. Za cenę jej nędznego życia mogło być uratowane życie inne, szlachetne i cenne.

Nonsensowność takiego rozwiązania, aż bije w oczy. Dla uciekającego przez okna Józefa cały ten melodramat nie ma żadnego znaczenia, wcale mu to nie zapewniło bezpieczeństwa. Lola zabije pierwszego Niemca, który stanie w drzwiach, po to, by następnie z tym większą wściekłością, po jej trupie, przeszli do pościgu za Józefem. Rozsądne zachowanie się Loli mogło dać uciekinierowi więcej drogocennego czasu (pierwsze pytania, rewizja i t. p.). Ale najważniejsze jest to, że pozorne bohaterstwo Loli pachnie brzydką ucieczką przed wyrzutami sumienia, pachnie samobójstwem. Świrszczyńskiej nie można odmówić wyczucia sceny. Wiele dialogów przeprowadza autorka z godną podziwu oszczędnością słowa. Niestety, w zakończeniu zwyciężyła chęć taniego efekciarstwa. To, w moim pojęciu przekreśla cały wysiłek.

Opracowanie reżyserskie i wykonanie mocno szwankowało. Janina Martuł (najlepsza w akcie I-szym) targała tak zawzięcie ranną rękę Józefa, że najzdrowszy nie zniósłby tej szarpaniny spokojnie. Czy w ten sposób miało się podkreślić nieumiejętność postępowania z rannymi? Małe tylko zastrzeżenia budziła postać Józefa (Leon Łuszczewski). Bezbłędnie wypadł Józef Klejer (Barczak).

Mieczysław Markowski

*) Teatr „Miniatury". Anna Świrszczyńska — „Strzały na ulicy Długiej". Sztuka w 3 aktach.

U „niezależnych"

Pod protektoratem Marszałka Sejmu R. P. Władysława Kowalskiego i Rektora Politechniki Warszawskiej Prof. Edwarda Warchałowskiego została otwarta II Wystawa Prac Polskich Artystów Niezależnych. 47 malarzy dało przegląd swej ostatniej twórczości. O wystawie tej trudno pisać normalną recenzję. Wypada raczej zastanowić się nad samą grupą „Niezależnych", jako zespołem ludzi działających z dala od współczesnych prądów w sztuce i nie związanych z żadnym programem artystycznym.

Wiele osób sądzi, iż grupa „Niezależnych" to epigoni sztuki „prawdziwej" to znaczy przedmodernistycznej. Ale nawet tak dobrze nie jest. Jest to zespół artystów, którzy wyrzekli się już wiele lat temu kontaktów ze współczesnymi prądami w sztuce i zrezygnowali z wszelkich prób zrozumienia zdobyczy modernizmu. I na tym nie koniec. Wszak modernizm nie musi być jedyną drogą w poszukiwaniu nowego wyrazu dla piękna. Głupstwem jest również sądzić, że nie można poszukiwać w przeszłości wartości strawnych dla naszych czasów. Można, i to nawet bliżej niż w sztuce egipskiej. Zmiany kierunków w sztuce następują równolegle do zmian psychiki społeczeństw, nie są zaś po prostu zastępywaniem rzeczy gorszych lepszymi. Korzystać z dorobku przeszłości można więc o tyle o ile jakaś stara forma służyć będzie potrzebom współczesnym. O ile da się włączyć w całość zdobyczy wieku i zgodnie przyczynia się do szukania wyrazu dla nowych czasów. Grupa „Niezależnych" dawno już jednak skostniała w swych zmanierowanych gustach i guścikach. Krocząc po drogach najmniejszego oporu i co intratniejsze — taniej popularności, daje na ogół prace akademickie, konwencjonalne, a w niektórych wypadkach usuwające się spod wszelkiej krytyki.

Sądzimy przeto, że jako całość nie wniesie już grupa „Niezależnych" do krainy sztuk plastycznych żadnych nowych wartości, tym więcej, że druga wystawa poziomem niestety nie przewyższa pierwszej.

Kilku artystów, którzy pracami swymi mówią otwarcie, że związek ich z grupą jest czysto przypadkowy, nie wpłynie prawdopodobnie na kierunek, czy rozwój całości. Trzeba mieć jednak dużo dobrej woli, by w powodzi prac bez wyrazu, odkryć kilka wartościowszych pozycji. Aby więc — zajmując zdecydowanie negatywne stanowisko w stosunku do II Wystawy Niezależnych" — nie czynić krzywdy tym którzy zasługują na pewne uznanie, omówimy ich osobno.

Przeciętnego widza wystawa przytłacza, więc gdy męczy wzrok i serce przesuwając się koło obrazów „niezależnych", łatwo może nie spostrzec roboty „dywersyjnej" niektórych członków grupy. Na przykład Tadeusz Roman, który wystawił tylko jeden mały olej „Zakonnice" i Drozd Stanisław z dwoma pejzażami przedstawili się jako niezależni od „Niezależnych". Jakubowski Stanisław suchorytem barwnym „Na pustkowiu" wybiegł na czoło znajdującej się na wystawie grafiki. Akwaforta „Polonia" i miedzioryt według szkicu Matejki „Ukrzyżowanie Chrystusa" mają bezwzględnie dużo wyrazu. Również grafika Zofii Stankiewicz zasłużyła na większą uwagę. Szczególnie: powaga „Bramy w klasztorze po OO. Augustianach" i urok barwnej akwaforty „Tratwy na jeziorach Augustowskich". Widoczny krok naprzód w porównaniu z poprzednimi pracami zaznaczył się u Franciszka Swocha w oleju „W porcie Władysława". Nie chęć łatwego podobania się i taniej popularności, ale szukanie własnej drogi i śmiałe borykanie się z trudnościami pokazał Bandrowski Adam („Pejzaż górski", „W cieniu gruszy"). Mikulicz-Jaroszyńskiej radzimy, by wróciła do akwareli. Marian Moskwa poszukuje nowych założeń. Cenimy jego trud tym więcej, że w czasach kiedy rozsiedliśmy się szeroko nad Bałtykiem, nie brak nam marynistów.

T. M. G.

Czytajcie „SŁOWO POWSZECHNE"

Czytelnik uważa, że...

W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia współczesnego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.

Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.

Szanowny Panie Redaktorze.

niech mi będzie wolno skorzystać z gościny w poczytnym pańskim tygodniku, by zwrócić uwagę naszej krytyki religijnej na dwie książki, które ostatnio z wielkim zainteresowaniem przejrzałem.

Jedna to Biskupa Radońskiego „Encyklopedia Hagjograficzna". Jest to zbiór krótkich życiorysów wszystkich świętych pańskich i błogosiawionych". Książka ta zasługuje na obszerne omówienie i jak największe rozpowszechnienie. Nie znaczy to, by była wolna od braków. I tak wydaje mi się, że poważnym brakiem, który powinien koniecznie być usunięty w przyszłym wydaniu, jest pominięcie najzupełniejsze cudów, choć najbardziej znanych, dokonanych za wstawiennictwem poszczególnych świętych.

Druga książka, to O. Jacka Woronieckiego biografia świętego Jacka Odrowąża. Nareszcie nasza uboga literatura naukowo - hazjograficzna wzbogaciła się o cenną pozycję. Znakomity uczony dał w niej rezultaty swoich długoletnich studiów nad początkami zakonu Dominikańskiego w Polsce. Dziwną ma aktualność i w dzisiejszej chwili ta książka. O'o akcja tej książki toczy się w pierwszych latach po sprowadzeniu Krzyżaków do Polski. Nigdy tak mocno jak w niej nie określono (może właśnie z powodu zimnego, czysto naukowego obiektywizmu autora) negatywnego wkładu jaki instynkty germańskie wniosły do kultury chrześcijańskiej — jak pisze autor. Pierwsza klątwa rzucona na Zakon dzięki energii naszego ówczesnego episkopatu ,który umiał ściśle informować stolicę apostolską o zbrodniczych zapędach zakonu, jest interesującą reminiscencją, którą warto dziś przypomnieć. Jeżeli by można doszukiwać się koniecznych uzupełnień do tej magistrackiej pracy, to byłyby nimi obszerniejsze charakterystyki przewijających się przez ten życiorys wybitnych jednostek, od św. Ludwika począwszy, poprzez szereg Papieży i kardynałów, na naszych Piastach wrocławskich kończąc.

Oto garść refleksji, na gorąco, zaraz po przeczytaniu tych ciekawych książek. Niech Pan mi wybaczy zaprzątanie nimi uwagi Pańskich czytelników. Drogi Panie Redaktorze.

Łączę wyrazy wys. szacunku i poważania

Aleksander Bocheński

Do Redakcji „Dziś i Jutro".

Wiem oczywiście, że sprostowania nigdy niczego nie ratują, ale wzorem doświadczeńszych autorów nie mogę oprzeć się naiwnej potrzebie reklamacji.

Otóż kilka dni temu ktoś zapytał się mnie co rozumiem pod słowem **„mrawy"**. Rzecz prosta nie potrafiłem dać na to odpowiedzi. Zaniepokojony przejrzałem 6-ty odcinek mojego opowiadania „Przyczynki do sprawy Wolfa" w numerze 18(127) „Dziś i Jutro" i ze zgrozą przekonałem się, że istotnie dziwne to słowo figuruje tu z całą bezczelnością.

Pragnę wyjaśnić tą drogą, że „mrawy" nie jest żadnym moim neologizmem, ale po prostu Waszym błędem zecerskim. Owa wesołość, o której tam mowa była **„nerwowa** i lekkomyślna". W ogóle w tym niefortunnym odcinku odkryłem cały szereg błędów. Ci, którzy witają nieszczerze uprzejmą miną gości szukających noclegu, to nie są „serdeczni", ale „serdeczni znajomi" — jedno opuszczone słowo. Poza tym na mieście było „bojno", a nie „rojno". Może nie znacie tego wyrażenia. Jest to takie gwarowe określenie sytuacji, w której istnieją słuszne przyczyny do strachu — do „boja".

A bodaj, że najprzykrzejsza omyłka, to podstawienie przy końcu odcinka „przygody" na miejsce „zdrady". To zupełnie zmienia sens. Dla Szarego cała sprawa „miała posmak niezrozumiałej zdrady". Trudno mi się wprost pogodzić z tą drobną na pozór różnicą.

Tyle moich korektorskich żalów. W imię sprawiedliwości muszę zaznaczyć, że w innych odcinkach, z wyjątkiem ostatniego, czy może dwóch ostatnich, bo tych jeszcze nie widziałem, błędów jest bardzo mało a jeśli są, to drobne.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku

J. J. Szczepański

DO RED. „DZIŚ I JUTRO"
O, JAKIE TO WSZYSTKO NUDNE I GŁUPIE!

Przewracam stronicę za stronicą, czytam artykuł za artykułem, w końcu tygodnik składam z westchnieniem ulgi i — tytuł niniejszego artykuliku gotowy...

Czy rzeczywiście pisarze nasi nie mają tematu. To świat jest aż tak jałowy, że pisać o nim nie warto? Więc jeżeli nie ma o czym pisać, to po co uprawia się gadulstwo płytkie, ordynarne i obce duchowi naszego narodu? Gadulstwo w schlebianiu sobie nawzajem, gadulstwo w krytyce, gadulstwo w wierszach nie wierszach, bo to niby mają być wiersze, ale nimi nie są, wszędzie gadulstwo, a nigdzie sensu, a gdy ten jest, to tak zagadany, że szukaj wiatru w polu...

Na przykład: czytam artykuł o malarzu poecie. Słowa płyną i płyną, gada się gada, chwali się, chwali i może uszłoby jakoś autorowi gdyby nie umieszczone reprodukcje obrazów, które autor opisuje. Lecz te reprodukcje zadają kłam całemu artykułowi, mówią o jego bezczelności, mówią o spółce nieuków, którzy mają tupet, a brak im wiedzy fachowej. Niedawno czytałem artykuł o wylęgarni geniuszów w Nieborowie. Co tam było! Co tam będzie! Na co się tam zanosi! A tymczasem wiadomo, że talent musi sam dojrzewać i dojrzeje bez pomocy tych, którzy talentu nie mają... Urojona wielkość pisarzy wyziera z naszej literatury tak, jak wyziera mak ze zboża: nicość pasożytnicza aż razi swoją barwnością!

Literaci szukają tematu, poeci natchnienia, malarze formy... Lecz, co będzie jeżeli ci ludzie znajdą to, czego szukają? Boję się o rewolucję wstecz... boję się o tych, którzy po wojnie wydali swoje prace literackie, boję się o pustkę w sztuce.

Krzyczy się o kulturze i sztuce, straszy się rząd brakiem kultury w kraju nabiera się rząd na nagrody za wielką twórczość, buja się kogo można, a po cichu uprawia się politykę wzajemnej adoracji ty mnie, ja tobie, i — Polska kwitnie...

I z filmem nie lepiej. Źle, źle z naszą kulturą! A jeżeli na nią nie pora to — milczeć obywatele szamani!! **J. T. K.**

DO REDAKCJI „DZIŚ I JUTRO"

Szanowny Panie Redaktorze, uprzejmie proszę o zamieszczenie mojej wypowiedzi i prośby:

Pan Wojciech Kętrzyński w swym artykule pt. „Rzeczywistość" („Dziś i Jutro" Nr 16) porusza aktualne zagadnienie, obrazujące dość jaskrawo, stan ilościowy duchowieństwa. W obecnych czasach, z łatwością można zauważyć w Polsce, brak nie tylko duchowieństwa, ale i nawet brak dostatecznej ilości powołań na służbę bożą.

Zastanawiając się nad przyczynami tego przykrego faktu, dochodzi się do wniosku, że źródłem braku powołań, jest obniżenie religijności w społeczeństwie polskim. Młodzież, wychowana w środowisku, które nie przejawia głębszego zainteresowania religią, upodabnia się podczas swego rozwoju duchowego, do środowiska z jakiego pochodzi. Stąd wniosek, że z tego środowiska nie będzie kandydatów do stanu kapłańskiego. Wobec tego nasuwa się pytanie: jak zainteresować powyższe środowisko, życiem katolickim w kraju? Na to pytanie, bardzo dobrą odpowiedź daje w swym artykule pan Kętrzyński. Proponuje On utworzenie „przy ośrodkach wychowywujących młodych duchownych— jakby koła przyjaciół seminariów. Zadaniem ich byłoby w najszerszej mierze pośredniczyć między młodym duchowieństwem a społeczeństwem i.... propagować wśród katolików właściwy stosunek do spraw duchowieństwa."

Uważam, że propagowanie powyższego stosunku nie powinno ograniczyć się do nieistniejących jeszcze dotąd kół, ale do prasy katolickiej. Dlatego też, zwracam się jako stały czytelnik do Szan. Redakcji z prośbą o zamieszczenie jeszcze szeregu artykułów i wypowiedzi w tej sprawie, by propagować wśród młodzieży idee poświęcenia się służbie bożej. **Zdzisław Józefowicz**

KOMUNIKAT ZARZĄDU BRACTWA ŚW. JÓZEFA W KALISZU.

W dn. 18 kwietnia 1948 r. odbyło się w Kaliszu Ogólne Zebranie Księży i świeckich b. Więźniów Politycznych, którzy złożyli ślubowanie w Dachau. Na tym zebraniu uchwalono założyć bractwo, które ma spełnić podwójny cel :szerzyć cześć św. Józefa i pod jego opieką stworzyć Dzieło Miłosierdzia ,czyli sierocińiec dla tych dzieci, które straciły rodziców w niemieckich obozach i więzieniach. W tym celu Zebranie powołało prezydium, złożone z kilku osób i upoważniło je do kooptowania innych członków zarządu. W ten sposób ukonstytuował się zarząd, składający się z sześciu członków prezydium i dwudziestu przedstawicieli diecezji i zakonów w kraju. W skład zarządu weszli też przedstawiciele świeckiego społeczeństwa. J. E. Ks. Bp. Karol Radoński, Ordynariusz Włocławski, na mocy prawa kanonicznego Bractwo św. Józefa w Kaliszu erygował, nadał mu osobowość prawną i zarząd jego zatwierdził.

Bractwo św. Józefa ma ułatwić swym członkom fundatorom spełnienie ślubów, złożonych w Dachau, dlatego niezwłocznie rozpoczęło szerzyć cześć św. Józefa i przystępuje do stworzenia ślubowanego Dzieła Miłosierdzia. Prócz członków fundatorów, którymi są uczestnicy ślubowania w Dachau, może do Bractwa należeć każdy katolik, tak świecki, jak duchowny, który pragnie być czcicielem św. Józefa i przyczynić się do stworzenia i utrzymania Dzieła Miłosierdzia pod jego opieką.

Z radością donosimy, że ze składek miesięcznych członkowie Bractwa już w najbliższym czasie będą utrzymywali 20 sierot w Zakładzie Wychowawczym X.X. Orionistów w Kaliszu, a spodziewamy się, że przy pomocy Władz i Społeczeństwa uda nam się w niedługim czasie stworzyć tu specjalny zakład dla sierot, najprzód dla chłopców, a potem dla dziewcząt.

Sekretariat Bractwa św. Józefa mieści się przy Kolegiacie Kaliskiej — Kalisz, pl. Konstytucji 2. Tam też prosimy zgłaszać sieroty, kierować zgłoszenia na członków Bractwa i ofiary na Dzieło Miłosierdzia pod opieką św. Józefa w Kaliszu, które można wpłacać na konto czekowe Nr. 344 K.K.O w Kaliszu.

Prezes Zarządu
Bractwa św. Józefa w Kaliszu
Franciszek Korszyński Bp

OGŁOSZENIE.

„Przy Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie (ul. Tłomackie 5) otwarta jest codziennie od godz. 10-ej do 15-ej, a w niedzielę i święta od 10-ej do 17-ej Sala Muzealna, poświęcona Martyrologii i Walce Żydów polskich w czasie okupacji niemieckiej. Wstęp bezpłatny".

W SŁUŻBĘ NAJŚWIĘTSZEJ PANNIE!

Księża Misjonarze Saletyni przyjmują do wszystkich klas gimnazjalnych i licealnych chłopców zdrowych, zdolnych i szlachetnych, pragnących poświęcić się stanowi kapłańskiemu i pracy misjonarskiej w ojczyźnie i za granicą. Warunki utrzymania bardzo przystępne.

Studenci z maturą licealną będą zaraz przyjęci do nowicjatu.

Młodzieńcy bez średniego wykształcenia mogą swe siły oddać Bogu i Najśw. Pannie jako bracia zakonni, pomocnicy misjonarzy. Stanowiąc z księżmi jedną rodzinę zakonną razem z nim pracują dla wielkich i świętych celów.

Wszelkie zgłoszenia i zapytania kierować na adres: Księża Misjonarze Saletyni, Dębowiec, pow. Jasło, woj. rzeszowskie.

Uroczystości setnej rocznicy Zjawienia się Matki Bożej na Górze Saletyńskiej, urządzane ubiegłego roku w całej Polsce, dostarczą niewątpliwie licznych i ofiarnych powołań!

Już ukazali się

„WYBRANCY GWIAZD"

powieść

Jana Dobraczynskiego

wyd.

Z. Gustowskiego

WYTWÓRNIA WYROBÓW TKACKICH

Inż. Witold IZDEBSKI i Ska

Długoletnia fachowość, wysoki poziom techniczny, skrupulatność w doborze surowca wyróżniają nasze:

WĘŻE przeciwpożarowe tłoczne

SIECI rybackie grube, rybackie cienkie } z wzmocnionymi brzegami

Fabryka i biuro sprzedaży: 1055

Grodzisk Mazowiecki ul. Spółdzielcza Nr. 2 Tel. Grodzisk 7067

FILM

„Moje Uniwersytety" to ostatnia część trylogii o Gorkim, której pierwsza część była wyświetlana w 1946 roku. Film charakteryzują te same cechy, które widzieliśmy w niedawno wyświetlanej drugiej części „Sam wśród ludzi".

Oba obrazy mają skłonność do dydaktycznego ujmowania zagadnień i rysowania grubymi liniami sylwetek. Temat jest pasjonujący — mało jest postaci, których życie byłoby tak świetnym i niewyczerpanym źródłem dla scenarzysty. Niestety jednak nie zostały wyzyskane w pełni. Podkreślone silnie są akcenty charakteru Gorkiego: bezkompromisowość i aktywny stosunek do życia — brak jednak dramatyczności w przedstawieniu zjawisk. Widzimy jakimi drogami następuje jego rozwój, nie wiemy jednak dlaczego kształtuje się on w taki sposób. Chcielibyśmy, aby film ukazywał i tłumaczył przeżycia psychiczne bohatera. To właśnie jest powodem, że wymienione wrażenia nie są pełne i przekonywujące.

Wykonanie techniczne i reżyseria na wysokim poziomie; na podkreślenie zasługują zdjęcia plenerowe.

Podobne zastrzeżenia można wyrazić w stosunku do innego filmu, którego akcja oparta jest również na historii nieprzeciętnej jednostki. „Dusze czarnych" to obraz o uczonym antropologu Makłaju, który przybywa na Nową Gwineę, celem badań naukowych wśród krajowców. Makłaj przedstawiony jest jako idealny naukowiec i szlachetny człowiek. Zarówno on jak i pozostali przedstawiciele białej rasy potraktowani są zbyt schematycznie. Najbardziej naturalnie wypadły sylwetki krajowców. Autentyzm ich typów i obyczajów i wspaniała przyroda są istotną wartością filmu.

Dwie skrajności filmu amerykańskiego reprezentują „Zielona dolina" i „Guwernantka".

Reżyser John Ford otrzymał za „Zieloną dolinę" pierwszą nagrodę Akademii Filmowej w Hollywood. Niewątpliwie jest to jeden z najlepszych obrazów amerykańskich, które widzieliśmy na naszych ekranach. Wyróżnia się świetnym przeprowadzeniem akcji, doskonałymi scenami i grą aktorów. Z pośród wykonawców wysuwają się na czoło Walter Pidgeon (odtwórca roli Piotra w filmie o Curie-Skłodowskiej), Donald Crisp i Barry Fitzgerald. Sceny takie jak pierwsza lekcja Huwa, scena w windzie, pozostają niezapomniane. Na podkreślenie również zasługuje operowanie tłumem w dniach strajku. Całość zrobiona jest z dużym wysiłkiem artystycznym. Film obrazując życie rodziny górników, jej cele, dążenia i ośrodek zainteresowań — kopalnię, nie rozwiązuje problemów, lecz je tylko zarysowuje i pozostawia do rozstrzygnięcia widzowi. Jeżeli takie właśnie było zamierzenie realizatorów to osiągnęli je oni całkowicie — obraz pozostawia nieprzemijające wrażenie.

Równie silne — lecz jakże odmienne — wrażenie pozostawia „Guwernantka". Wesołe uśmiechy na twarzach wychodzących pozwalały przypuszczać, że jest to wesoła komedia. Istotnie — to, co zobaczyliśmy na ekranie jest komedią — tylko zdaje się niezamierzoną przez realizatorów. Spontaniczne i odruchowe jest zestawienie tego obrazu z „Tredowatą".

Za dużo miejsca zajęłoby omawianie nonsensów. Wytrzymać do końca seansu pozwala tylko piękna gra Betty Davis i Charles Boyer'a. Fakt, że tych dwoje świetnych aktorów, jednych z najlepszych, jakich posiada w tej chwili Ameryka, zostało zmuszonych do gry w takim filmie wskazuje na całkowitą nieumiejętność wykorzystania ich talentu i brak przemyślenia produkcji.

Aparatura Polonii całkowicie zsynchronizowała się z poziomem filmu — była równie zła. Chwilami zdawało się, że patrzymy na film niemy, w rzadkich momentach, w których było coś słychać — dźwięk był fatalny. Wydaje się, że brak kin można by wynagrodzić chociaż przez staranny dozór nad nimi. Ilość kin jest tak nikła, że nie powinno to być problemem — natomiast niewątpliwie jest nieprzyjemnym problemem dla widza gdy po godzinach czekania i przezwyciężenia trudności związanych z otrzymaniem biletu — spotyka nowa przykrość.

Leszcz.

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński i Mieczysław Kurzyna. **Wydawca:** Kolegium Redakcyjne
Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17. tel. 880-71. Konto P.K.O. — Nr I-727.
Sekretarz redakcji przyjmuje: codzień, prócz poniedziałków i wtorków, godz. 12.30 — 13.30 Prenumerata miesięczna 60 złotych. Kwartalna 180 złotych
Druk. Skolimowska 5. B-43975